

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 7. Warszawa, dnia 5 (17) Lutego 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TREŚĆ. Lichwiarz, niby bajka przez Ex-Bociana.—Szkic myśli o zapisie ś. p. Stanisława Staszica, przez Bolesława Maciejowskiego, (dal. ciąg.) — Historya o pięknym Pecopin i pięknej Bauldour przez Wiktora Hugo (dokończenie).—Ziemia przed potopem, przez L. Figuiera (d. c.). — Gawędy higieniczne i lekarskie XXIV. — Dziewczyna z Treppi, nowella P. Heysego, rzecz z 1855 r. — Korespondencya Opiekuna Domowego, z Sieradza. — Użytki z roślin, przez Niawiadomskiego (dalszy ciąg). — Przyczynki do racyonalnej pedagogii, zebrał A. Szymański III.—Ślady życia. VII. — Chancellor, notatki podróżnego I. R. Kazallon, przez Juliusza Verne. (dalszy ciąg.) — Z miasta, kraju i świata. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia. — 3 drzeworyty do art. Ziemia przed potopem.

LICHWIARZ
NIBY BAJKA.
przez
Ex-Bociana.

Był sobie w pewnem mieście, jeden lichwiarz stary,
Co obdzierał swych bliźnich, bez końca, bez miary
A nie dbając na biedę, straszne brał procenta.—
Że właśnie nadchodziły, wielkanocne święta,
Że mu głowę klektali znajomi, sąsiedzi,
Lichwiarz do Częstochowy jedzie do spowiedzi —
Usłyszawszy spowiednik, takie zbrodnie straszne,
Zawołał:—niech pioruny zatrzasną cię jasne!
I chwyciwszy za kołnierz grzesznika braciszka,
Obił mu plecy paskiem, świętego Franciszka,
Kazał przysiądz na wszystko, i to najgorzej,
Że brać będzie pięć od sta, ani grosza więcej —
Wraca lichwiarz do domu, skruszony niezmiernie,
Chcąc pokutę odprawić i wykonać wiernie,
Ogłasza, mając malca syna jedynaka,
Że jest najsumienniejsza jego wola taka,
Zabezpieczyć dla chłopca, dwadzieścia tysięcy,
Z procentem po pięć od sta, ni mniej ani więcej,
I to na lat dwadzieścia—na czas długoletni
Aż jego mały chłopak, będzie pełnoletni,
By tylko kto pożyczy, wypłacił procenta,
I koszta w hypotece u pana regenta...
Szlachcic co go żydziska już nie raz oskubli,
Słysząc, że złapać może trzy tysiące rubli,
Nie mogąc od radości, spać we dnie i w nocy,
Pędzi do dobrodzieja, tak jak kamień z procy,
A widząc w tem dla siebie łaskę oczywistą,
Staje razem z lichwiarzem, przed księgą wieczystą.
Wypłaca roczny procent, chcąc brać list zastawny,
Ale lichwiarz mu na to: — jakiś pan zabawny?
Com wyrzekł dotrzymuję, słowo to rzecz święta!
Ale za lat dwadzieścia, z góry daj procenta.
Zgłupiał szlachcic nieborak, bo za trud, fatygę,
Miałby dług w hypotece, a w kieszeni figę.
Cofnął się, ucieszony, że niewiele stracił;
Bo tylko regentowi, fatygę zapłacił,
A z tego sens moralny i racya wynika,
Że lichwiarz okpić może, nawet spowiednika.

SZKIC MYŚLI
o zapisie ś. p.
STANISŁAWA STASZICA.

(dalszy ciąg).

Nie mamy pod ręką statystycznych danych co do ludności stałej miasta Warszawy w r. 1824; ale to jest pewnem że w r. 1825 wynosiła ona w ogóle 126,433 osób. Oprócz tego, może nie każdemu z czytelników, ale magistratowi miasta doskonale wiadomo, że ceny głównych przedmiotów życia w r. 1824, były następujące: korzec żyta: kop. 96, pszenicy rs. 1 kop, 80, grochu polnego rs. 1 k. 5, jęczmienia kop. 90, owsa 73½, mąki pszennej rs. 2 k. 70, żytniej pytlowej rs. 1 k. 57½, centnar siana k. 40, słomy 25. Wół średni kosztował rs. 24 k. 30, ciele 2.25, baran 1.20. Funt mięsa wołowego płacono kop. 4, masła 12, chleba pytlowego 1¼, sążeń drzewa rs.2 k. 32. Gdy do tego dodamy, że w roku następnym 1825, przy cenie korca żyta rs. 1 k. 5, pomocnik mularski pobierał dziennie kop. 25, a pomocnica kop. 12½, poweźmiemy niemylne przekonanie, że Staszic pisał swój testament w roku, który pewnie był najtańszym w obecnym wieku (cen z przed r. 1807 nie posiadamy), i że od tego czasu, ceny wszystkich produktów życia znacznym uległy zmianom, i te też w cenie pracy odbić się koniecznie musiały i odbiły.

W razie więc koniecznej potrzeby, można ceny przez Staszica przepisane odpowiednio podnieść, co tem jest właściwsze, że i sam kapitał przez niego zapisany, obecnie jest 5 razy większy.

Stan ówczesny włościan sam Staszic opisuje w sposób następujący: „postacie jedne na wpół nago chodzą, drugie ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, zwiędniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami nieustannie robią.“

Obecnie postać rzeczy się zmieniła. Skutkiem zniesienia pańszczyzny, uwłaszczenia, włościanie przyszli prawie wszyscy do własnego kapitału, do posiadania gruntu, ci zaś co jeszcze go nie mają, z powodu nadzwyczajnego podrożenia pracy ręcznej na wsi, mają byt pracą swą niezależną zapewniony. Nie ma więc biednych w chacie na wsi. O ludność zatem wiejską włościańską, możemy być teraz spokojni, ubóstwa w niej nie ma.

Inny zupełnie widok przedstawiają miasteczka i miasta nasze.

Zmiana stosunków włościańskich, z dworów i probostw usunęła wielką liczbę oficyalistów niższych i wyższych, ci więc ze wsi pociągnąć musieli, i pociągnęli do miasteczek i miast, chwytając się to handlu, to przemysłu jak kto może.

Z postępem czasu, zmiana organizacyi usunęła tysiące rodzin od zajmowanego przez nie stanowiska, i ci nie na wsi, bo tę mało znają, a w miasteczkach i w miastach, szukają środków utrzymania. Ludność więc miast

wzrosła. Sama Warszawa ludność swą z 126,000 w r. 1824, podniosła do blisko 300,000.

Podrożało komorne, a tysiące rodzin szuka zajęcia w handlu, rzemiosłach, przemyśle. Nie jedna rodzina traci resztki zamożności na próbach nowego zawodu, a pomimo to, nie co rok, ale co kwartał, przybywają osiedlający się w miastach ze wsi, ale nie z chaty przybyli.

Współubiegania w handlu, nawet dawne domy wytrzymać nie mogą, widzimy tego skutki.

Nowo przybyli zamieszkują jakiś czas w miasteczkach, a nie znajdując tam dla siebie odpowiedniego zajęcia, dążą do największego ogniska ludności, sądząc, że kiedy tu krocie żyje, i oni co chcą pracować wyżyć będą mogli.

Napływ więc do Warszawy coraz większy, a tysiące rąk szuka zajęcia, a znaleść go nie może.

Powiecie, że nic nie umieją, i to się zdarza, ależ przecież cokolwiek zrobić potrafią, np. ci co niedawno za bardzo zdolnych na swych stanowiskach uważani byli, czyż przez tak krótki czas zniedołężnieli zupełnie? Nie mogą znaleść odpowiedniego, a chociażby nieodpowiedniego zajęcia (naturalnie nie w wyższym ale chociażby w niższym stopniu). A zasoby się wyczerpują, bieda coraz większa, przychodzi u nie jednych do ostateczności. Pukają do drzwi, nie w imieniu jałmużny (o tych tu nie ma co wspominać) ale pragną pracy, zatrudnienia. I cóż im wtedy możemy odpowiedzieć?—do roboty! a gdy proszą, wskaż choćby siekierą rąbać (której nie mam), jakaż z naszej strony odpowiedź? gdzie ich posłać? kogo się zapytać czy rzeczywiście ci ludzie chcą roboty? a znaleść jej nie mogą? A mają oni na podobieństwo tego co Staszic kiedyś pisał, „postacie jedni na wpół nagie, drudzy podartą łachmaną okryte wszystkie wyschłe, zwiędniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami nieustannie robią, po kilka rodzin w jednej zgnilizną stęchłej izbie się mieszczą."

Istniejące instytucye dobroczynne radzą biedzie jak mogą, ale podołać jej trudno. Tow. Dobrocz. stale utrzymujące starców, kaleki, sieroty nieletnie, ma przepełnione sale, dochody zmniejszone, a dorastających dzieci nie ma komu powierzyć, aby w pożytecznej pracy na ludzi powychodziły. Szpitale przeludnione, a chorych z biedy i nędzy przybywa ciągle. Tyfus stałe sobie w Warszawie obrał mieszkanie...

Zarząd nędzy wyjątkowej pomaga wszelkiemi środkami, ale jaką ma dać radę wracającym do zdrowia lub chwilowo zapomożonym, chcącym pracować, gdy tej pracy znaleść nie mogą?

Jest dom przytułku i pracy na Woli, pod kierunkiem rządu i sądu, zbiera plugawych próżniaków i za decyzyą do pracy przymusowej napędza. Ale nie ma pracy dla chcących swobodnie, uczciwie, bez przymusu pracować. Dla takich i tu nawet drzwi zamknięte. Cóż za straszny wniosek? Dla poczciwej pracy nie ma zarobku, zawiń przeciw społeczeństwu, a będziesz miał: albo pracę przymusową i utrzymanie, albo nawet utrzymanie i bez pracy. Strach pomyśleć, a jednak tak jest rzeczywiście. Mamy towarzystwo opieki nad zwierzętami, czemużbyśmy nie mogli mieć towarzystwa opieki pracy, nad zakładem dla ludzi chcących i umiejących pracować?

Dom Dzieciątka Jezus, żłobki, przytułki dla dzieci, oszczędzają robotnikom czasu i nakładu w wychowaniu dzieci, dają wolny czas do pracy. Ale gdzież ta praca? gdzie ją ci rodzice znaleść mogą?

Tym co twierdzą że wszędzie jest praca ale ludzi znaleść nie można, przypominamy że najmniejsza praca potrzebuje już kapitału, chociażby w odzieży, mieszkaniu (jeżeli już nie o narzędzia, nie o materyały do pracy chodzi); że w niektórych naszych instytucyach za kilkanaście rubli na miesiąc, ojcowie rodziny pracują, prosimy zrobić zresztą próbę i wezwać gdzie do zapisywania się ludzi chcących pracować a nie mających zajęcia, a znajdą się ich całe bataliony wszelkiego rodzaju, nie w teoryi a w praktyce na jawie, chętnych i umiejących pracować [1]).

Może powiecie że to przesada (daj Boże), ale spytajcie wszystkie wymienione wyżej instytucye, i wszelkie inne, spytajcie policyą wykonawczą o nocne przytułki zimowe. Znajdzie się tam wszędzie nadużycie dobroczynności publicznej, i temu nie przeczę, ale dla czego? — bo nie ma probierza prawdziwej biedy, nie ma probierza chęci i możności do pracy.

Takim probierzem, ma być dom zarobkowy Staszica, dla chcących dobrowolnie pracować. Do takiego zakładu pod kierunkiem: rządu i rady zarządzającej dobroczynnością publiczną, a może i oddzielnym komitetem z obywateli, przemysłowców, rzemieślników i t. p. złożonym; do takiego mówię zakładu Towarzystwo dobroczynności śmiało mogłoby oddawać swe dorastające dzieci, może nawet wcześniej jak to dziś zrobić jest w stanie. Sale zarobkowe, dając możność do pracy i kapitał obrotowy na materyały, zmniejszyłyby biedę a więc i powstające z niej choroby. Możeby tyfus nie ciągle u nas panował, liczba kradzieży z pewnością by się zmniejszyła [2]) stałaby się ulga przepełnionym szpitalom, i łatwiejby w nich było znaleść pomieszczenie, zyskałaby na tem ogólna sanitarność na szego miasta — (w najgorszym jak wiadomo będąca stanie); zyskałyby na tem moralność. Zarząd wyjątkowej nędzy, po czasowej zapomodze miałby gdzie przesłać powróconych do zdrowia, i z chwilowej dźwigniętych nędzy.

Dla policyi, czuwającej nad utrzymaniem dobra publicznego, okazałaby się łatwa sposobność odróżniania chcących pracować, wyszukania niechętnych do pracy próżniaków, i umieszczania ich w przymusowym domu zarobku i pracy na Woli.

Ludność biedna, posiadając kapitał obrotowy (zakładu), mając sposobność do pracy, możeby mniej rozłączała się ze swemi dziećmi w zakładzie Dzieciątka Jezus, a posyłając je do żłobków, przytułków dziecinnych, rzeczywistą by odniosła korzyść, z zaoszczędzonego czasu do pracy. Jednem słowem, dom lub sale zarobkowe, byłyby ogniwem łączącem wszystkie nasze zakłady dobroczynne, dla każdego z nich ulgą, i jakoby czarodziejskim probierczym młynem, któryby z jednej strony wracał społeczeństwu ludność: pracowitą, pilną, zdolną do coraz wyższego kształcenia w zawodzie, a z drugiej nie umieszczonych w nim próżniaków, oddawał wprost policyi wykonawczej, aby ich zniewolić do pracy przymusowej, jako wyrzutków społeczeństwa.

Gdyby dom czy sale zarobkowe, w całości mogły wydołać swemu zadaniu (co od razu i w krótkim czasie w żaden sposób nastąpić nie może): wszystkie ręce i głowy zajęte by były pracą pożyteczną. Jedni własnowolnie, samodzielnie pracujący w swym zawodzie, drudzy nieradni czy mniej zdolni lub mniej szczęśliwi, własnowolnie z pomocą domu zarobkowego, a niechętni do pracy pod dozorem i strażą, przymusowo w domu zarobku i pracy, byliby do niej zniewoleni.

* * *

Od r. 1824, czasu zapisu Staszica, zmieniły się nasze warunki społeczne, ale ta odmiana nastąpiła w ten sposób, że jak Bogu chwała nie ma nędzy w chacie na wsi, to jest ona bez porównania większa w miasteczkach i miastach, a największa w Warszawie, która ma obecnie przeszło dwa razy tyle ludności co w r. 1824, a najmniej 4 razy tyle ubogich. W tej liczbie znaczny procent znajdzie się biedy szlachetnej, która nie prosi o wsparcie, ale błaga o pracę a nie ma żadnego kapitału obrotowego (chyba może na 360%).

Podług tego cośmy wyżej mówili, zaszłe od czasu zapisu Staszica zmiany, są następujące: Bieda na wsi w chatach ustała. Ludność w Warszawie podwoiła się, a ubogich chcących pracować jest w niej przynajmniej 4 razy tyle. Ceny przedmiotów życia i pracy podniosły się, ale jeżeli zajdzie potrzeba, jest prawna możliwość podniesienia cen przez Staszica przepisanych tem bardziej, że kapitał z 200,000 złp. wzrósł do miliona. Na kapitał obrotowy mamy 500,000 złp. a na wydatki domu zarobkowego około 60,000. Zakłady dobroczynne nędzy zaradzić nie mogą, potrzebują instytucyi pośredniej zarobkowej. Wszystko to naszem przekonaniem nie tylko nie zmniejsza potrzeby podobnego zakładu, ale go tem konieczniejszym, naglejszym czyni.

Staszic głęboko się zastanawiał nad sposobem urządzenia swego zakładu. Dla tego wyraźnie odróżnił urządzenie domu a przynajmniej sal zarobkowych. Aby urządzić odpowiedni dom zarobkowy, z oddzielnemi co do przedmiotu potrzebami, wypada mieć praktyczne dane czego tam potrzeba? co, gdzie i jak ma być umieszczone? a tego na początku w żaden sposób być nie może.

Dla tego właśnie i obecnie, zdaje się najwłaściwszem urządzić początkowo sale zarobkowe. Że zaś takie sale i domy nie są marzeniem, dowody tego znajdujemy w Anglii, gdzie one już istnieją. Gdzie zaś umieścić te sale,

---

[1]) Smutny wypadek zdarzył się 31 stycznia r. z. Na ulicy Wiślanéj zmarzł głodny nagi 19 letni chłopiec. (Kuryer Warszaw. z 1 lutego). Czy można przypuścić że nawet do pracy fizycznej był niezdatny? Czy też tak w lenistwie był uparty że wolał z głodu i zimna umrzeć niżeli pracować? Dla nas jest to dowód że w sile wieku można nie znaleść kawałka chleba. Radzibyśmy usłyszeć wyjaśnienie tych panów, którzy w żywe oczy twierdzą, że u nas każdy chcący i umiejący pracować znajdzie kawałek chleba; tak „każdy dla siebie" aż do głodnej śmierci na ulicy.

[2]) Statystyki dowodzą że liczba popełnionych kradzieży wzrasta w miarę niedostatku, nieurodzajów i t. p. i odwrotnie.

gdy inne instytucye a mianowicie szpitale ubogich są przepełnione? trudno przed czasem rozstrzygnąć, ale na podobny zakład możeby było najodpowiedniejszem użyć jeden z gmachów poklasztornych. Ich bowiem budowa z korytarzami, obszernemi komnatami i licznemi dziedzińcami, zdaje się na podobne zadanie najdogodniejsza.

Urządzenie samych sal, musi odpowiadać potrzebom. A jakie obecne potrzeby?... przesądzać nie wolno, albowiem one same o sobie zdanie wyjawić powinny, gdy do tego właściwe „indywidua“ wezwane zostaną. Nie można więc na teraz twierdzić, jak i co ma być szczegółowo urządzone, dopóki o samych potrzebach nie dowiemy się.

To tylko jest pewnem, że w zasadzie zarobek ma być dopuszczonym na wszelką pracę, bez ograniczenia przedmiotu.

Jak zaś wszelką pracę rozumieć? czy podług pojmowania niektórych ekonomistów, którzy za pracę tworzącą, uważają tylko że tak powiem materyalną? — Nie.—Pracą tworzącą w społeczeństwie jest wszelka praca pożyteczna, uczciwa, nie tylko więc materyalna, zmysłowa, ale i umysłowa; nie tylko rzemieślnicza, fabryczna, przemysłowa, ale i artystyczna; nie tylko budująca ale i rozbierająca stare domy i t. p. Jednem słowem za możliwe (wrazie potrzeby) uważamy wszelkie oddziały prac, a głównie następujące:

Oddział I. Prace, że tak powiem, zmysłowe wyrobnicze, potrzebujące użycia zdrowych rąk i zmysłów, na wszelkie zażądania zewnątrz lub wewnątrz sal, do noszenia, rycia, nakładania, obracania korbą, rąbania drew i t. p.

Oddział II. Prace, że się tak wyrażę, umysłowe: pisanie, rachowanie, rysowanie, tłómaczenie, zdolności do zarządu, zbieranie wiadomości, układanie spisów i t. p.

Oddział III. Prace techniczne artystyczne, przemysłowe, fabryczne, rzemieślnicze, gdzie już tylko sami właściwie uzdolnieni pod szczególnym poddziałem pracować mogą.

W skutek tych prac, znajdą się do zbycia wyroby i wytwory, głównie potrzeby prostego ludu na celu mające, a dla tych potrzeba będzie urządzić:

Oddział IV. Składy na placach czy w sklepach, do ruchu zewnętrznego, do handlu.

Na ubogich zdolnych do pracy i chcących pracować, z pewnością zbywać nie będzie. Zdaje się nawet że na sam początek, możnaby i pomiędzy ubogimi zrobić ograniczenie u boższych; np. przyjmować do zakładu tylko ludzi liczne rodziny mających, oraz młode sieroty, starców i kaleki zdatne do jakich pojedyńczych zajęć, (ale zawsze pracujących bo to nie dom przytułku, a pracy), wszyscy atoli swój stan poprzeć powinni dowodami ubóstwa, i zdolności do pracy.

Przy rozwinięciu domu zarobkowego podług zasad powyższych przybywa jeszcze:

Oddział V. Żywienia i zaopatrywania potrzeb ludności domu zarobkowego, a więc pomiędzy innemi kuchnie i odzieże tanie.

Ponieważ Staszic, zaleca zbieranie oszczędności dla każdego indywiduum, żadnej nie podlega wątpliwości, że dla każdego pracującego jego oszczędność szczegółowo wykazywaną być musi, jako jego osobista własność, rozporządzalna przy wyjściu z sal zarobkowych. Stąd wypływa:

Oddział VI. Kasa oszczędności domu zarobkowego.

Gdybyśmy dalej wniknąć chcieli w myśl zapisodawcy, to na podobieństwo organizacyi stowarzyszenia hrubieszowskiego przez niego utworzonego, wypadałoby przy salach w oddziale kasy oszczędności, utworzyć kasę pożyczkową dla ubogich zarabiających, na niską stopę procentową, np. 6% łącznie z administracyą kasy pobierane. Kapitał 500,000 złp. stale lokować się mający, możnaby oddawać na procent umiarkowany 8% przemysłowcom, rzemieślnikom i fabrykantom obszerne zakłady mającym, za odpowiedniem poręczeniem lub ubezpieczeniem hipotecznie.

Do przyszłego domu zarobkowego zgłaszać się mogą, a nawet koniecznie zgłaszać się będą, ludzie ubodzy chcący pracować, po za obrębem domu zarobkowego. Czy takim wypadnie odmówić zupełnie udziału w tym zakładzie? Czy więc matka ma koniecznie opuścić swe drobne dzieci, aby mogła szyciem zapracować na kawałek chleba? czy młody człowiek ma koniecznie porzucić 'starca kalekę, aby sam mógł pracować w domu zarobkowym?—Nie. — Są to ubodzy, chcą i umieją pracować, dla czegóżby nie mogli korzystać z zapisu Staszica?

Na to nam odpowiedzą — bo tam zapłata za pracę na miejscu jest utrzymanie i konieczna oszczędność, a zakład nie ma prawa wypłacać wynagrodzenia bez potrącenia oszczędności.

Zdaniem jednak naszem, niedogodność tę możnaby usunąć w ten sposób, że biednym pracującym po domach, można wydawać robotę na wydział dzienny za dzienną płacą. Wypłacać zaś tę tylko część która się należy na utrzymanie, a przypadającą na oszczędność zatrzymywać do wypłaty tygodniowej a właściwej miesięcznej, jakby terminu wypisania i wpisania na nowo danego indywiduum do zakładu.

Stąd utworzy się:

Oddział VII. zarabiających w domu na wydział. d. n.

HISTORYA O PIĘKNYM PECOPIN
I PIĘKNEJ BAULDOUR,

przez

Wiktora Hugo.

(Dokończenie.)

XVII.

Parę drobnostek o drzwiach.

Pecopin wzruszył ramionami. Bauldour żyje, Bauldour jest wolną, Bauldour mnie kocha! I czegoż mam się obawiać? Wczoraj wieczorem zanim spotkałem tego diabła, minęło właśnie pięć lat od chwili w której ją widziałem po raz ostatni. A więc dziś jest starszą o pięć lat i jeden dzień, ujrzę ją zatem daleko piękniejszą. Ko bieta, wszak to piękna płeć, dwadzieścia lat, wszakże to najpiękniejszy wiek.

W tych czasach wierności wypróbowanej, pięć lat, był to wcale nie zbyt długi i zadziwiający termin.

Tak rozmawiając sam z sobą, zbliżał się do zamku i z radością poznawał każdą nierówność wjazdowej bramy, każdy ząb w blankach, każdy gwóźdź w zwodzonym moście.

Czuł się szczęśliwym i pożądanym. Próg domu w którym bawiliśmy się będąc dziećmi, uśmiecha się jak matka, witając nas kiedy wracamy w późniejszych latach.

Przechodząc przez most, zauważył przy trzeciej arkadzie bardzo piękny dąb, którego szczyt przerosł wysoko po nad parapetem mostu.—Dziwna rzecz, pomyślał, w tem miejscu nie było wcale drzewa. Potem przypomniał sobie, że na dwa lub trzy tygodnie przed polowaniem na którem spotkał Palatyna, grał z Bauldour w kostki i żołędzie na parapecie mostowym, i że właśnie w tem miejscu jedna żołądź stoczyła się do fosy zamkowej.

— Dalibóg, pomyślał: żołądź wyrosła w taki piękny dąb, w przeciągu pięciu lat, co za wyborny grunt.

Na dębie tym siedziały cztery ptaki świergocząc jedno przez drugie, były to: sójka, gil, sroka i kruk. Pecopin nie zwrócił na nie uwagi, jak również na gołębia gruchającego w gołębniku i na kurę gdaczącą na podwórzu.

Myślał tylko o Bauldour i spieszył do niej. Słońce świeciło w całym blasku, i służba spuściła most zwodzony.

Pecopin wchodząc w bramę usłyszał po za sobą gdzieś w niesłychanej dali gwałtowny, ostry i długi śmiech. Patrzył na około, ale nie widział nikogo. To diabeł tak się śmiał w jaskini swojej.

Pod sklepieniem był zbiornik wody, który cisza i cień zamieniły prawie w zwierciadło. Rycerz nachylił się nad niem. Po trudach podróży pozostały na nim zaledwie łachmany odzieży, szczególniej zaś po tej diabelskiej nocy; spodziewał się, że zobaczy na sobie same szmaty i lękał się własnego obrazu.

Czy w skutek jednak talizmanu, czy pod wpływem napoju, którego kazał mu się szatan napić, był więcej zachwycający, młodszy, świeższy i wypoczęty jak kiedykolwiek bądź. Najwięcej zaś go zadziwiło, świetne i zupełnie nowe szaty jakie ujrzał na sobie.

Myśli tak pomieszały się w jego głowie, że nie mógł sobie przypomnieć gdzie i kiedy tak go wspaniale przystrojono. Przecudownie wyglądał. Miał ubiór księcia przy twarzy cherubina.

Kiedy się przeglądał zdziwiony trochę, ale bardzo zadowolony ze swej urody, usłyszał po za sobą jeszcze weselszy śmiech. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. To diabeł tak się śmiał w swojej jaskini.

Przeszedł cały dziedziniec. Żołnierze zbrojni wychylali się ze strzelnic patrząc na niego, żaden z nich nie poznał go, i Pecopin nie poznał żadnego z nich. Służące w krótkich spódniczkach, które prały bieliznę nad brzegiem sadzawki odwróciły się, żadna z nich jego nie poznała i on żadnej nie poznał. Pozwolono mu przejść, tak pięknie wyglądał. Piękna postać zapowiada i piękne imie. Wiedział doskonale

drogę, zwrócił się więc ku wieżyczce, której schody prowadziły do komnaty Bauldour. Przechodząc podwórzec zdawało mu się, że fasada zamku trochę pociemniała i wyszczerbiła się, że bluszcz na ścianie północnej rozszerzył się bez miary, dzikie wino zaś pnące się po murze południowym, zgrubiało niesłychanie; dla serca jednak zakochanego co znaczy kilka kamieni poczerniałych, kilka listków mniej lub więcej?...

Zbliżając się do wieżyczki ledwie mógł drzwi rozpoznać. Sklepienie na których się schody wspierały miało formę spiralną i było zawieszone w wieży okrągłej. W tym czasie kiedy Pecopin wyjechał z kraju, ojciec Bauldour tylko co odnowił przysionek i wysypał go pięknym, białym żwirem z Heidelberga. Otóż ten przysionek odbudowany podług rachunku Pecopina przed pięcioma laty, dziś już zupełnie poczerniał, zarosł trawą, dając przytułek w zagięciach sklepienia, kilku gniazdom jaskółek. Dla serca

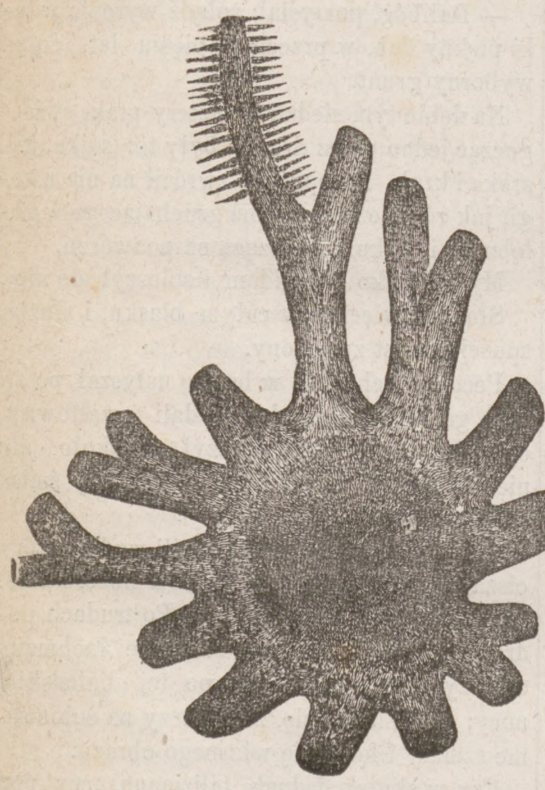


Fig. 8. Stigmaria fucoides (str. 106).

kochającego cóż znaczy parę gniazd jaskółczych?

Gdyby błyskawice umiały chodzić po schodach, szybkość ich byłaby niczem w porównaniu z szybkością Pecopina. W jednym mgnieniu oka był na piątem piętrze przed drzwiami pokoiku Bauldour. Przynajmniej te jedne drzwi nie poczerniały i nie zmieniły się; zawsze czyste, wesołe i bez plamy, z okuciem błyszczącem jak srebro i sękami na drzewie, jasnemi jak źrenica dziewczyny. Znać było, że to te same drzwi dziewicze, które kasztelanka codziennie myć kazała pokojówkom swoim. Klucz był w zamku, jak gdyby Bauldour oczekiwała Pecopina. Potrzebował tylko położyć rękę na tym kluczu i wejść. Zatrzymał się. Ciężko oddychał z radości, szczęścia i upojenia, a może to robił trochę i dla tego, że jednem pędem przeskoczył pięć piętr. Wielkie promienie różowe latały mu przed oczami i zdawały się odświeżać czoło. Szum napełniał jego głowę, krew w skroniach biła gwałtownie. Kiedy to pierwsze wrażenie minęło, kiedy cisza w nim zapanowała, zaczął słuchać.

Jak opisać wszystko co się działo w tej biednej duszy upojonej miłością? Przez drzwi usłyszał warczenie kołowrotka.

XVIII.

W którym umysły poważne dowiedzą się jaka jest najbezwstydniejsza metamorfoza.

Prawdę mówiąc, mógł to wcale nie być kołowrotek Bauldour; mógł to być kołowrotek którejkolwiek służącej, wszak obok pokoiku Bauldour miała kapliczkę, w której całe dnie przepędzała. Wiele bardzo przędła ale jeszcze więcej się modliła. Pecopin wszystko to sobie powiedział, pomimo to jednak, słuchał z zachwyceniem kołowrotka.

Taka to już głupota panuje w sercu mężczyzny który kocha, szczególniej zaś daje się ona widzieć u ludzi, mających wielką duszę i wielkie serce.

Chwile jak ta którą przebył Pecopin, składają się z ekstazy chcącej czekać—i niecierpliwości pragnącej wejść. Równowaga trwa kilka minut, poczem niecierpliwość odnosi górę. Pecopin drżąc cały położył rękę na kluczu, zakręcił nim, klamka ustąpiła, drzwi otworzyły się, wszedł.

— Ah! pomyślał, omyliłem się, to nie był kołowrotek Bauldour.

W istocie w tym pokoju ktoś prządł, była to jednak stara kobieta.

Stara kobieta, nie określa dobrze tej postaci którą ujrzał Pecopin, była to raczej stara wieszczka, bo wieszczki tylko dochodzą tych lat bajecznych i tej zgrzybiałości wiekowej. Kobiecina którą widział zdawała się mieć i miała z pewnością więcej niż sto lat. Wystawcie sobie proszę małą istotę ludzką czy nadziemską, schyloną, skuloną, złamaną, zgarbioną, zardzewiałą, z wywróconemi powiekami, łuszczącą się, zmarszczoną, zwiędniętą, skrzywioną, z białemi rzęsami i włosami, z czarnemi zębami i wargami, zresztą—żółtą, chudą, łysą, wytartą, cuchnącą ziemią, trzęsącą się—obrzydliwą.

Jeżeli więc chcecie wyrobić sobie jakiekolwiek wyobrażenie o tej twarzy, gdzie tysiące zmarszczek zbiegało się do ust jak promienie koła do środka, wyobraźcie sobie, że przed wami ożyła ta obelżywa metafora łacińska *anus*. Ta czcigodna i przebrzydła istota siedziała przytulona przy oknie, z oczami schylonemi na kołowrotek, trzymając w ręku wrzeciono jak parka. Zacna kobieta musiała być także potężnie głucha, bo nie odwróciła się wcale, pomimo szelestu jaki zrobiły otwierające się drzwi, któremi wszedł Pecopin.

Kawaler zdjął biret i czapeczkę jak to wypada przed osobami w tak podeszłym wieku, i postępując krok naprzód, zapytał:

— Szanowna pani, gdzie jest Bauldour?

Stuletnia dama podniosła oczy, upuściła nici, wszystkie jej drobne członki zadrżały, słabo krzyknęła i uniosłszy się trochę na krześle, wyciągnęła do Pecopina ręce długie i chude jak u szkieletu. Wpoiła w niego swoje wiedźmie oczy i rzekła głosem słabym i kończastym, jak gdyby wychodził z grobowca:

— O nieba! rycerzu Pecopin czego potrzebujesz? Wiele mszy żądasz? O Boże przedwieczny! Więc Pecopin umarł i oto duch jego stanął przedemną.

— Cóż u licha zacna damo — odrzekł Pecopin wybuchając śmiechem, i umyślnie mówiąc bardzo głośno ażeby Bauldour będąca zapewne w kaplicy usłyszała go i przybiegła, dziwiło go jednak trochę, skąd ta staruszka wie jak on się nazywa—ja przecie nie umarłem. To nie mój duch ukazujący się po śmierci, tylko ja sam powracam, ja Pecopin, zdrów i wesół jak ryba. Bez mszy się więc obejdę, ale pragnę ucałować moję narzeczoną, moję Bauldour, którą kocham nad życie. Czy słyszysz czcigodna damo.

Zaledwie skończył te słowa, stara rzuciła mu się na szyję. Była to Bauldour.

Niestety! nocne łowy piekielnego strzelca trwały 100 lat. Bauldour nie umarła, dzięki Bogu czy też szatanowi; za to w chwili kiedy Pecopin młody i piękny jak zawsze, odszukał ją i znów ujrzał, biedna dziewica miała 120 lat i jeden dzień.

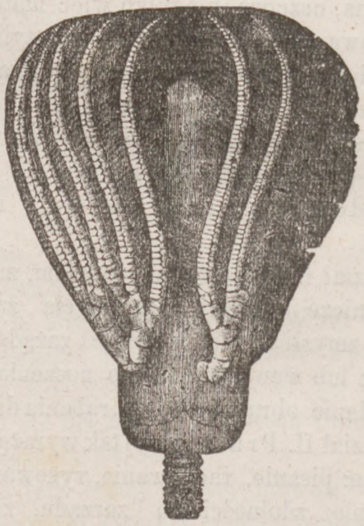


Fig. 9. Platicrinus tricanthodactylus (str. 107).

XIX.

Mądre i piękne słowa czterech pierzastych filozofów.

Pecopin przerażony uciekł. Zeskoczył na sam dół schodów, przebiegł podwórzec, wypchnął bramę, minął most, wdarł się na skarpę, przebył urwisko, przeskoczył strumień, wdrapał się na górę i uciekł do lasu Sonneck. Tak pędził cały dzień, przestraszony, zrozpaczony, szalony i wściekły. Kochał zawsze Bauldour, ale brzydził się tem widziadłem. Nie wiedział gdzie jest jego rozum, co stało się z jego pamięcią, gdzie się podziało jego serce. Wieczorem widząc, że się zbliżył do murów swojego rodzinnego zamku, zdarł z siebie wspaniałe szaty, w które diabeł na kpiny go ustroił i rzucił w głęboki potok Sonneck. Później wyrwał sobie garść włosów i nagle spostrzegł, że trzyma w ręku zupełnie siwe włosy. W tejże samej chwili kolana jego się ugięły, nogi tak osłabły, że musiał się oprzeć o drzewo, ręce miał straszliwie pomarszczone. W szale rozpaczy nie wiedząc sam co robi, pochwycił talizman zawieszony na szyi, zerwał łańcuch, i wraz z ubraniem rzucił w potok. Słowa niewolnicy którą sułtanka wysłała do niego, sprawdziły się natychmiast. W ciągu jednej minuty zestarzał się o sto lat. Rankiem stracił

miłość, wieczorem młodość go opuściła i wtedy po raz trzeci w tym dniu fatalnym ktoś rozśmiał się za nim wesoło. Pecopin obejrzał się ale nikogo nie zobaczył. To diabeł tak śmiał się w swojej jaskini.

Cóż było robić pod takim nawałem prześladowania? Podniósł z ziemi kawał kija zgubionego przez jakiegoś drwala i wsparty na nim dowlókł się do swego zamku, który na szczęście był bardzo blisko stamtąd. Kiedy się już do niego zbliżył, przy ostatnim blasku zachodzącego słońca ujrzał siedzące pomiędzy dwiema chorągiewkami na daszku, po nad bramą cztery ptaki: srokę, sójkę, kosa i kruka, które zdawały się na niego oczekiwać. Usłyszał w dali kurę wołającą: Pecopin! Pecopin! i słyszał gołębia mówiącego: Bauldour! Bauldour! Przyszedł mu na myśl sen jaki miał w Bacharach i słowa które powiedział mu niegdyś, sto pięć lat temu starzec zbierający gałęzie pod murem: Panie! dla młodzieńca kos gwiżdże, sójka śpiewa, sroka skrzeczy kruk kracze, gołąb grucha, kura gdacze; dla starca ptaki mówią. Wytężył więc słuch i oto jaką rozmowę usłyszał:

SÓJKA.

Więc wróciłeś już rycerzu, na ojczysty dwór.

KRUK.

Kanię's zabił,
Zabił sępa,
Orła strącił z chmur...

KOS.

Lepiej było przy twej lubej, w piosnce śpiewać wtór,

SROKA.

Byłbyś dotąd się dochował, grona synów, cór...

KURA.

Pecopin! Pecopin!

GOŁĄB.

Bauldour! Bauldour! Bauldour!

KONIEC.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Okres węglowy.

Po okresie dewońskim, w historyi kuli ziemskiej następuje *okres węglowy*, tak zwany od pokładów *węgla kamiennego*, które w owym czasie wytworzyły się i dziś dają nam nieoszacowany materyał opałowy.

Węgiel w tej postaci w jakiej się nam przedstawia, jest materyą pochodzącą z roślin, istniejących w owej odległej od nas epoce. Zagrzebane pod skałami potężnej grubości, rośliny te przetrwały do naszych czasów, chociaż tkanka ich uległa pewnej znaczącej zmianie a niemniej i wygląd ich zewnętrzny.

Rośliny te utraciły część swych elementów twórczych i przekształciły się w węgiel, przesycony temi materyami żywicznemi, które bywają zwykłemi produktami powolnego rozkładu materyj organicznych.

Owóż węgiel używany w kuźniach i spalany w naszych ogniskach; węgiel główny czynnik naszej produkcyi przemysłowej i ekonomicznej, służący nam do ogrzewania pomieszkań i do wytworu gazu oświetlającego, jest nie czem innem, tylko materyą pochodzącą z owych roślin składających lasy, florę polną i bagniskową starożytnego świata, a to w epoce której chronologii nie możemy dokładnie oznaczyć.



Fig. 10. Zwierzęta morskie w okresie węglowym wapieniodajnym (str. 106).

Cała roślinność z okresu węglowego przedstawiała wspaniały rozwój, o jakim dziś niepodobna nam mieć nawet słabego wyobrażenia. Znaczna grubość warstw odnoszących się do tego okresu, oraz ich nierówność, wskazują nam, że ta faza geologiczna w historyi naszej planety, trwała dłużej od innych, jakkolwiek niepodobna nam ściśle oznaczyć ogromnego upływu czasu, zwanego okresem węglowym.

Wypada nam poznajomić nieco czytelnika z charakterystycznemi cechami tej epoki. Atmosfera owczesnej ziemi, odznaczała się niepospolicie wysokim stopniem ciepła i nadzwyczają wilgotnością. Rośliny właściwe okresowi węglowemu, napotykamy dziś tylko wyłącznie pod palącemi promieniami słonecznemi krain zwrotnikowych, kolosalne zaś wymiary drzew pochodzących z tegoż czasu a znajdywanych w stanie kopalnym, dowodzą najwidoczniej jak wielkiemi masami pary wodnej, przesyconą wtedy była powietrznia. Znakomity wędrowiec Livingstone, który tyle ważnych odkryć poczynił w sercu Afryki, powiada, że nieustanne deszcze i nadzwyczajne upały, są charakterystycznemi cechami Afryki równikowej, gdzie rozwija się przepyszna i bogata roślinność. Zaznaczyć tu winniśmy, że wysoka temperatura w połączeniu z wilgotnością jaką się odznaczała owoczesna atmosfera ziemi, nie odnosiła się tylko do pewnych uprzywilejowanych jej stref, lecz panowała wszędzie, bez względu na szerokości jeograficzne. Od krain równikowych do wyspy Melville (znajdującej się na oceanie północnym lodowatym), gdzie dziś znachodzimy śniegi wieczyste. Od Szpicbergu do głębi Afryki, flora węglowa przedstawiała prawie zupełnie identyczne kształty. Znajdując też same skamieniałości w Grenlandyi i w Gwinei, też same gatunki roślinne dziś znikłe z powierzchni ziemi, napotykane w stanie jednakowego rozwoju pod równikiem i przy biegunie północnym, zniewoleni jesteśmy przyjąć, że w okresie węglowym, temperatura kuli ziemskiej wszędzie, w każdym jej punkcie, była jednakową. Stąd też to, co nazywamy dziś *klimatem*, było wyrazem nie znanym w czasach geologicznych, jeden bowiem klimat posiadała cała ziemia owoczesna. Dopiero nierównie później, a mianowicie w epoce trzeciorzędowej, w skutek objawiającego się szybszego postępu w oziębianiu się kuli ziemskiej, zimno dało się uczuwać pod biegunami. Skąd pochodziła ta jednostajność temperatury, mogąca nas zadziwiać? Najwidoczniej z nadzwyczajnego ciepła, jakie wówczas panowało wszędzie na ziemi.

Planeta nasza sama przez się była tak rozgrzaną, że na właściwą jej temperaturę nie miało żadnego wpływu ciepło, jakie jej przesyłała gwiazda dzienna, to jest słońce. Wypada nam tu objaśnić czytelnika, w kwestyi chemicznego składu powietrza w okresie węglowym. Biorąc pod uwagę ogromną masę roślin przyodziewających bogatym płaszczem owoczesną kulę ziemską, od bieguna do bieguna; tudzież wielki zasób węgla i wodoru istniejący w węglu kamiennym, zawsze zapełnionym materyami żywicznemi, moglibyśmy z tych

danych wnosić, że atmosfera w owym czasie musiała być daleko bogatszą w kwas węglany od dzisiejszej powietrzni. Na podstawie przesycenia owoczesnego powietrza kwasem węglanym, kuszono się nawet objaśniać małą liczbę zwierząt, a mianowicie skrzydlatych jakie wtedy istniały. Jest to czysta hypoteza, nie mająca za sobą żadnych poważnych świadectw któreby ją popierały. W rzeczy samej, nic nie udowadnia nam, aby atmosfera ziemska była w czasie okresu węglowego, zasobniejszą w kwas węglany od dzisiejszej powietrzni. W rezultacie zatem nie możemy bynajmniej twierdzić, aby w tym okresie powietrze zawierało w sobie więcej węgla, niż to, jakiem dziś oddychamy. Natomiast wypada nam zaznaczyć, opierając się na niewątpliwych faktach geologii, że roślinność ziemi w okresie węglowym, dosięgła niesłychanego rozwoju, jaki zresztą w rzeczy samej przedstawiają gatunki flory, rozradzające się wówczas na powierzchni naszej planety.

Paprocie które dziś w naszych klimatach, tworzą liche rośliny trawiaste, w okresie węglowym, występowały w postaci krzewów bujnych i okazałych.

Każdemu z nas znanym jest skrzyp, używany przez stolarzy do gładzenia drzewa. Skrzypy mają łodygę dętą okręgowo-gałęzistą, członkowaną. Stawy jej członków pokryte są pochewkami błoniastemi, ząbkowanemi, zastępującemi liść w tej roślinie. Na wierzchołku łodygi u wielu skrzypów znajdują się *otoczki zarodnikowe*, skupione w kłosowatą szyszkę z której po dojrzeniu wysypują się *zarodniki*.

Owóż te wątłe dziś skrzypy, w czasie okresu węglowego były niepospolitej wielkości drzewami; przedstawiały się że tak powiemy, w postaci potężnych szparagów, wyniosłych na 28 st. pol. a 8 pol. cali przeszło średnicy mających. Trzony ich podłużnie żłobkowane i poprzerzynane wszerz liniami stawowatemi, przetrwały do naszych czasów w łonie ziemi, i noszą nazwę *kalamitów*.

Dzisiejsze widłaki są lichemi roślinkami, najczęściej płożącemi się po ziemi; długość ich nie dochodzi $3^1/_2$ stóp polskich; w okresie jednak węglowym widłaki były drzewami dosięgającemi 104 stóp pols. wysokości, jak naprzykład *Lepidodendrony*, które naówczas tworzyły całe lasy.

Liście tych drzew miały niekiedy dwadzieścia cali długości, a średnica pnia dochodziła $3^1/_2$ stóp pols. Takiemi zwłaszcza wymiarami, odznaczał się gatunek zwany *Lepidodendron carinatum*, tudzież *Lomatophloyos crassicaule*, niemniej kolosalnej wielkości. Z paproci *sygilarye* miały przeszło sto cztery stóp wysokości, paprocie zaś trawiaste rozradzające się wówczas w wielkiej obfitości, krzewiły się w cieniu tych drzew olbrzymich. Oto potężne drzewa i krzewy, tworzące wspaniałą sylwię węglową.

Cóż wspanialszego nad tę florę w całej pełni życia, bujną, bogatą, okazałą. Kolosalne sygilarye panujące w lasach, lepidodendrony o giętkiej i wysmukłej łodydze, lomatoflojosy przedstawiające się w postaci olbrzymich *drzew trawiastych*, osłoniętych bogatym liściem, kalamity na trzydzieści pięć stóp wyniosłe, wytworne paprocie drzewiaste wielkolistne, prześlicznie powykrawane i ząbkowane, oraz paprocie trawiaste z misternie wyrzeźbionym liściem, tworzyły obraz roślinności nieporównanego wdzięku. Nic nie może nam dawać wyobrażenia o bogactwie flory węglowej, osłaniającej przepysznym zielonym płaszczem ziemię od bieguna do bieguna, rozradzającej się pod palącemi promieniami słońca, w temperaturze wszędzie jednostajnej.

W głębi lasów nieprzebytych, rośliny pasożytne rozwieszały się na drzewach, tworząc przeróżne festony jak lyany dzisiejszych lasów równikowych. Pasożytami temi były prawie zawsze misterne paprocie z rodzajów: *Sphenopteris* i *Hymenophyllites*, które wiły się po trzonach olbrzymich drzew, podobnie jak dzisiejsze storczyki i rośliny ananasowate.

Na pobrzeżach wód, krzewiły się przeróżne rośliny z lekkim okółkowym liściem, należące prawdopodobnie do działu dwuliściennych, a mianowicie: *Annularye* (Annularia fertitis), *Sfenofility* i *asterofility*.

Cały ten świat roślinny o dziwacznych kształtach, niezmiernie prosty w ustroju, imponujący kolosalną wielkością swych okazów i niezmierzonym obszarem jaki obejmował, odróżniał się całkiem od flory dziś roztaczającej przed nami swe czary. Roślinność okresu węglowego cechująca się okazałością, siłą i szybkim rozwojem życiowym, przedstawiała z drugiej strony wielkie ubóstwo gatunków, z czego wypływała jednostajność kształtów, pozbawiona tej rozmaitości, jaką się zaleca dzisiejsze państwo roślinne.

Żaden kwiat nie występował z pośród liści, nie rozweselał samotni lasów. Wieczysta zieloność osłaniała gałęzie paproci, widłaków i skrzypów, składających przeważnie roślinność tej epoki, złożoną z niezliczonych osobników, lecz zredukowaną do małej liczby gatunków, i wytwarzającą tylko typy niższego rzędu, to jest należące do gromady skrytopłciowych.

Żaden owoc widoczny, mogący służyć na pożywienie, nie ukazywał się na gałęziach; nie żyły też wówczas jeszcze zwierzęta lądowe. Natomiast morza posiadały mieszkańców, przejawiały się w nich twory zwierzęce, gdy na ziemi panowała wyłącznie flora; później dopiero wystąpią na widownię życia w szlakach powietrznych owady tęgopokrywe i żyłkoskrzydłe, przeróżnie zabarwione. W jakim celu, dla zaspokojenia jakich potrzeb rozkrzewiały się te lasy samotne? Oto pytania na które nie podobna nam odpowiedzieć.

Aby dokładne dać wyobrażenie czytelnikowi o okresie węglowym, należy podzielić go na dwa podokresy, a mianowicie *węglowy wapieniodajny*, w którym wytworzyły się ważne osady morskie, i *węgla kamiennego* którego warstwy uwyraźniły się na lądach. Oba te podokresy pozostawiły pokłady materyału opałowego, który jednak głównie w drugim podokresie występuje obficie i zaspakaja dziś potrzeby naszego przemysłu.

Podokres węglowy wapieniodajny.

Roślinność przyodziewającą liczne wyspy i morza w okresie węgla składały paprocie, skrzypy, widłaki i rośliny dwuliścienne, nagonasienne [1]).

Annularye i *Sygilarye*, należały w tej gromadzie do rodzin zupełnie dziś znikłych.

Annularye były niewielkiemi trawami pływającemi na powierzchni wód, listki miały po większej części okółkowe, przy każdym stawie łodygi i gałęzi.

Sygilarye przeciwnie przedstawiały się w postaci olbrzymich drzew z trzonem prostym, uwieńczonym pióropuszem liści wązkich i opadających, z korą żłobkowaną, na której dawne liście pozostawiły wyciski, podobne do pieczęci (sigillum), stąd też czerpnęły swą nazwę.

Stygmarye, według wielu paleontologów, były roślinami skrytopłciowemi, owocującemi pod ziemią. Znamy jedynie długie ich korzenie, na których mieściły się organa rozrodcze.

Kolosalne drzewa skrzypowe zwane *kalamitami*, krzewiły się w wielkiej obfitości tak w podokresie węglowym wapieniodajnym, jak i w podokresie następnym. Kalamity skrzypowe rozradzały się jak nasze szparagi, za pośrednictwem łodygi podziemnej, z której w pewnej odległości wyrastały nowe wypustki z pod ziemi.

Dwa drzewa olbrzymie zapełniały lasy w tym podokresie, to jest: *Lepidodendron carinatum* i *Lomatophloyos crassicaule*. Oba należały do rodziny widłaków, które dziś obejmują jak to już powiedzieliśmy, tylko gatunki liche, bardzo małej dochodzące wysokości.

Trzon *Lomatoflojosów* był gałęzisty, na końcu gałęzi mieściły się gęste pęki liści równowąskich, mięsistych.

Lepidodendrony miały trzony walcowate, widełkowate, gałęzie dwudzielne to jest rozdwajające się bez przerwy na połowy, aż do wierzchołka. Kończyny tych gałęzi w skutek owocowania, przyjmowały postać stożków przystrojonych łuskami równowąskiemi, którym nadano nazwę *lepidostrobus*. Wszelako wiele tych gałęzi było niepłodnych, kończących się po prostu listowiem (frons) podłużnem.

Eugeniusz Deslongchamps, odtworzył na podstawie badań naukowych typ *Lepidodendrona* (lepidodendron sternbergii). Paprocie w podokresie węglowym wapieniodajnym, rozradzały się w wielkiej obfitości, z gatunków ich najcharakterystyczniejszym typem był: *Sphenopteris laxa*.

Morza owoczesne obejmowały mnóstwo zwierzokrzewów, blisko dziewięćset gatunków mięczaków, nieco ryb i skorupiaków.

Z ryb wymieniamy rodzaje *Psammodus* i *Coccosteus*, których zęby mieściły się w podniebieniu i służyły do rozcinania pokarmów, tudzież *Holoptychius* i *Megalichthys*. Mięczaki po większej części reprezentowane były przez ramionowce brachiopoda) olbrzymich wymiarów. Z produktusów przytaczamy rzadsze gatunki: *productus Martini*, *productus semi-reti-*

---

[1]) Rośliny *szyszkowe* (coniferae) nazywamy często *nagonasiennemi* (plantae gymnospermae) z tego względu, że w kwiatach żeńskich znajdują się zalążki nasion zupełnie nagie, czyli bez żadnego okrycia, jak to ma miejsce w słupkach innych roślin. Tu należy sosna, jodła, modrzew, cyprys, jałowiec, welingtonia i t. p.
(*Przyp. tó n.*)

culatus i *giganteus*. Z rodzaju *Spirifer*, żyły Spirifer *trigonalis* i *glaber*. Z przewiertek przechowała nam ziemia gatunek *Terebratula hastata*, wraz z barwistami prążkami ozdabiającemi muszlę żywego ramionowca. Ze ślimaków opatrzonych symetrycznie zwiniętą skorupą, odznaczał się *Bellerofon* (bellerophon) przypominający ustrojem dzisiejszego *łodzika* (Nautilus pompilius), z tą różnicą, że nie miał skorupy poprzedzielanej wewnątrz poprzecznemi ściankami, tworzącemi komory. Z tych jestestw pospolitym był naówczas *Bellerophon costatus*. Z głowopławów (cephalopoda), żyły w tym podokresie *Orthoceras* podobny łodzikowi i *Goniatites evolutus*, rodzaj pokrewny ammonitom o których niedługo mówić będziemy.

W podokresie węglowym wapieniodajnym, skorupiaki przejawiają się nielicznie. Ostatniemi reprezentantami trylobitów, był wtedy gatunek zwany *Phillipsia*, który znika w warstwach tejże formacyi. Zwierzokrzewy składały się głównie z enkrynów i polipów. Enkryny przedstawiają nam rodzaje *Platycrinus* i *Cyathocrinus*; obok nich żyły mięczaki meszkowate. Z enkrynów gatunek *Platycrinus triacanthodactylus*, uzupełniamy czytelnikowi w drzeworycie (fig. 9).

Z pośród polipów odznaczały się rodzaje: *Lithostrotion*, *Lonsdaleia* i *Amplexus*, z mięczaków meszkowatych *Fenestrella* i *Polypora*. Wreszcie wystąpiły już na widownię życia a mianowicie w morzach, zwierzęta które będą odgrywać wielce ważną rolę w warstwach ostatnich okresów geologicznych, i przejawiać się w nich w wielkiej obfitości. Chcemy tu mówić o *dziurkowcach* (foraminifera), polipach ślimaczkowatych mikroskopowych, nie tworzących skupień, lecz żyjących w skorupkach wapiennych wielokomórkowych. Maleńkie te jestestwa które wytworzyły olbrzymie ławice i rozległe warstwy ziemne w okresach jurasowym i kredowym, zaczęły już ukazywać się w podokresie węglowym wapienia. Na drzeworycie tutaj zamieszczonym, przedstawiamy czytelnikom obraz owoczesnego morza, ożywionego przeróżnemi tworami. Z prawej strony widzimy wałęsające się polipy, opatrzone muszlą białą, żywo oświetloną blaskiem słonecznym. Na samym krańcu dostrzegamy gatunek *Lasmocyathus*, tuż przy nim *Chaetetes* a dalej *Polypora*. W pośród tych jestestw dostrzegasz czytelniku mięczaka zamieszkującego kończynę podłużnej stożkowatej rurki, przedstawiającej się w postaci szabli, to *Aploceras* poprzednik ammonita. W rzeczy samej gdybyśmy wyobrazili sobie zwiniętą tę podłużną ukrywającą go muszlę, nie będzie ona różnić się prawie od muszli ammonita lub dzisiejszego łodzika (Nautilus pompilius).

W środku drzeworytu na pierwszym planie występują *Bellerophon hiuleus*, *Łodzik Koninckii* (Nautilu, Koninckii) i *Productus*, z licznemi kolcami, wychodzącemi z wnętrza lub z zewnętrznej powierzchni muszli.

Z lewej strony tego akwarium dostrzegamy odmiennego ustroju polipy: jako to: *Chonetes* z rozwiniętą powierzchnią muszli opatrzoną małemi kolcami i *Cyathophyllum*, w postaci trzonu prostego walcowatego.

Dalej enkrymy (cyathocrinus i platicrinus) obwinięte około pnia drzewnego, wraz z którym płyną po wodzie, ciągnąc za sobą swe trzony pokrzywione. Z ryb, *Amblypterus* porusza się żywo wśród tych jestestw, po większej części nieruchomych i przytwierdzonych jak rośliny do skały, na której poczęły swe istnienie.

Wreszcie napotykamy w krajobrazie kilka wysepek wyniesionych nad ciche morze. Na jednej z nich rozrasta się las, przedstawiając zdala zarysy bogatej roślinności, cechującej w ogóle okres węglowy.

Wypada nam zapoznać się potrosze, z warstwami wytwarzanemi przez osady morskie w czasie podokresu węglowego wapieniodajnego, gdyż zawierają one w sobie węgiel, chociaż w ilości znacznie mniejszej od pokładów cechujących podokres węgla kamiennego.

Warstwy te są głównie złożone z wapienia ścisłego, barwy popielatej, błękitnawej lub czarniawej. Za uderzeniem w te pokłady młota górniczego, rozchodzi się woń cuchnąca, która pochodzi z rozłożonej materyi organicznej mięczaków i zwierzokrzewów, jakich szczątki w nich spoczywające, oko jeszcze dobrze może rozpoznawać. Wapień do tego podokresu należący, tworzy w Wielkiej Brytanii wyniosłe góry, dla tego też Anglicy nazwali go *wapieniem górskim*. Przyjmuje on niemniej nazwę *wapienia metalorodnego*, a to ze względu bogactw mineralnych, jakie obejmują jego warstwy w hrabstwach Derbyshire i Cumberland.

Formacye tegoż podokresu istnieją w Rossyi, w północnej Francyi, w Belgii, i dostarczają pospolitych marmurów, które nazywamy *marmurem flandryjskim* i *małym granitem*.

Tego rodzaju marmury wydobywane w Regneville (Manche) i w innych miejscowościach, służą do wyrobu wapna i kamieni ozdobnych. Z pośród marmurów Regnewilskich, prześliczną jest odmiana barwy czarnej, poprzerzynana wielkiemi żyłami żółtemi.

We Francyi wapień do tej epoki geologicznej odnoszący się wraz z piaskowcami, zlepieńcami (konglomeratami wapiennemi), łupkami i gliną łupkowatą, zajmuje szerokie przestrzenie w Wogezach, w hrabstwie Lyonnais, i w Langwedocyi.

Często w zetknięciu z syenitami i porfirami, wapień ten nie tylko zostaje rozburzonym, ale nadto całkiem przeobrażonym z powodu rozmaitości skał w skład jego wchodzących.

W Stanach Zjednoczonych tenże wapień tworzy rozległe warstwy w Alleghany; znajdujemy je również w Nowej Holandyi.

Pokłady wapienia z tego podokresu, jako nierównie starsze od wapieni drugorzędowych i trzeciorzędowych, są więcej powyginane w swym układzie. Dolina Mozy od Namuru aż do Chockier, powyżej Leodium (Liége), jest wyżłobioną w tym utworze geologicznym, którego wyżyny, zwłaszcza też z lewego brzegu rzeki, są wielce malownicze. d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXIV.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

5. Rekonwalescent homeopatyczny.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

— A więc pan wyzdrowiałeś z *febry zimnej* czyli *gorączki przepuszczającej* — i obecnie czujesz się tylko nieco słabym.

— Tak jest. Przed dwoma miesiącami miałem pierwszy napad rzeczonej gorączki, który powtarzał się co drugi dzień; po kilku jednak tygodniach, dzięki homeopatycznemu leczeniu, napady te stawały się coraz słabszemi, wracały w większych daleko odstępach czasu i wreszcie niedawno całkiem ustąpiły, pozostawiwszy po sobie jedynie lekkie dreszcze, zjawiające się w poprzednich dniach gorączki, znaczne osłabienie, ociężałość w nogach i brak apetytu.

W podobny sposób mówił pewien dychawiczny (astmatyczny), wlokący się z trudem jegomość, o mizernej twarzy, zapadłych oczach i bladych wargach, nogi którego, po uważnem obejrzeniu, okazały się opuchniętemi aż do kolan, wskutek czego zdawały się też choremu ciężkie jak ołów.

Badanie fizyczne najdotykalniej przekonało, że śledziona i wątroba pacyenta, t. j. narzędzia posiadające największy wpływ na tworzenie krwi, nadzwyczaj są obrzmiałe i stwardniałe.

I tego ginącego człeka, dotkniętego wodną puchliną, obrzmieniem i stwardnieniem śledziony oraz wątroby, poczytywano za „rekonwalescenta!“

Lecz cóż stan taki wywołało? Leczenie homeopatyczne, t. j. *bezczynność* pod względem lekarskim i dyetetycznym. Jeśli bowiem kiedy, to właśnie przy gorączce przepuszczającej, skoro chory nie może przesiedlić się do zupełnie innego klimatu, powinien przynajmniej bezwłocznie leczyć się owym środkiem, który zdolny jest usunąć najgłówniejszy objaw chorobowy, a mianowicie napady gorączki (paroksyzmy), oraz zapobiedz zgubnym następstwom. Środek ten stanowi *chinina*.

Nasz pacyent, niestety, dostał się w ręce prawdziwego homeopaty, fanatycznego wyznawcy Hahnemana, i rozumie się, musi za to długo jeszcze cierpieć, a być może, wlec się przez całe życie z chorą (powiększoną, stwardniałą) śledzioną oraz wątrobą. Przy leczeniu homeopatycznem, chory w ciągu kilku tygodni nie mógł zajmować się żadną czynnością, podczas gdy prawidłowa kuracya alopatyczna w niewiele dni oswobodziłaby go od cierpienia i pozwoliłaby mu wrócić do swych zajęć.

DZIEWCZYNA Z TREPPI.

(NOWELLA)

przez

P. Heysego.

(Rzecz w 1855 roku)

Na wyniosłych wzgórzach gór Apenińskich ciągnących się pomiędzy Toskanią, a północną

częścią państwa Kościelnego, leży samotna wioska, nazwiskiem Treppi. Scieżki do niej wiodące są nieprzystępne dla jazdy kołowej. Na kilka godzin dalej, w kierunku południowym, zrobiwszy wielkie zboczenie, ciągnie się przez góry gościniec, który przebiega poczta i bryki zwane weturynami. Przez wioskę Treppi przechodzą tylko chłopi mający do czynienia z pasterzami, rzadko bardzo malarze i lękający się dróg otwartych wędrowcy piesi; za to po nocach podążają tam na chwilowy wypoczynek przemytnicy ze swojemi objuczonemi zwierzętami, przedzierając się przez mało komu znane dzikie górskie drożyny.

Było to w środku października, kiedy noce zwykle w górach są jeszcze bardzo jasne. Dziś jednak po dniu słonecznym delikatna mgła powstała z parowów, zwolna rozszerzyła się po nagich skałach całej wyżyny. Była może dziewiąta godzina wieczorem. W porozrzucanych, niskich, z kamieni pobudowanych chałupach, których w nocy pilnowały tylko najstarsze kobiety i najmłodsze dzieci, gdzie niegdzie połyskiwał jeszcze ogień. Około komina, nad którym wisiał duży kocioł, leżeli pasterze ze swemi rodzinami i spali; psy w popiół się zagrzebały; tylko stara babka, która spać nie mogła, siedziała jeszcze na kupie skór, machinalnie poruszała kołowrotkiem, szeptała pacierze lub zakołysała niespokojnie śpiące dziecko. Nocny wiatr, wilgotny, jesienny, przeciągał przez duże szczeliny w murze; dym ze słabo płonącego ogniska mgłą ciśnięty na dół, wracał się z trudnością i unosił pod pułapem chałupy, nie robiąc staruszce żadnej przykrości. Zresztą usnęła i ona, mając otwarte oczy.

Tylko w jednym domu jeszcze czuwano... Miał on także tylko jedno piętro, jak inne, lecz kamienie w nim były lepiej spojone, drzwi szersze i wyższe; do obszernego czworoboku, stanowiącego właściwe mieszkanie przypierały różne schowania, przykomórki, stajnie i dobrze wymurowany piec do pieczenia chleba. Przed drzwiami stało kilka objuczonych koni, przed któremi stojący wypróżniony żłób odsuwał właśnie chłopiec stajenny, gdy wyszło z domu sześciu czy siedmiu uzbrojonych ludzi i pospiesznie zajęło się przygotowaniem do odjazdu. Stare psisko leżące przed drzwiami, machało tylko ogonem, gdy ruszyli z miejsca. Potem wstało z ziemi i powlokło się z trudnością do chałupy w której ogień jasno się jeszcze palił. Przed kominem stała jego pani zwrócona do ognia; wspaniała postać nieruchoma ze spuszczonemi na biodra rękoma. Gdy pies z lekka dotknął się ogromnej jej ręki, odwróciła się, jakby budząc się ze snu.

— Fuoco, zawołała, moje ty biedne psisko, jesteś chory, idź spać. Pies zaskomlił i na podziękowanie machnął kitą, potem wgramolił się na starą skórę leżącą przy kominie, i wyciągnął się ciężko oddychając.

Tymczasem weszło kilku innych parobków, zasiedli około dużego stołu przy miskach, które tylko co opuścili przemytnicy, udający się w dalszą drogę. Stara służąca, wziąwszy ogromną łyżkę napełniała je na nowo polentą, i sama siadła z innemi. Gdy jedli, nikt nie wyrzekł słowa, ogień trzaskał, pies postękiwał we śnie, poważna dziewczyna siedziała na kamiennej płycie przy kominie, odsunęła talerz z polentą, którą jej podała sługa, nie poruszając się wodziła oczami w koło i nie zatapiała w myślach. Przededrzwiami wznosiła się mgła, niby ściana biała. Jednocześnie półksiężyc ukazał się w górze z po za krańców skały.

Wtem na drodze dał się słyszeć stłumiony tentent jadących konno ludzi.

— Pietro! — zawołała młoda pani, spokojnie napominającym głosem.

Wysoki parobczak powstał natychmiast od stołu i zniknął we mgle.

Teraz już wyraźnie słychać było zbliżających się kroki i głosy, wreszcie konie stanęły przed domem. Wkrótce ukazało się we drzwiach trzech ludzi, którzy weszli, wyrzekłszy parę słów na powitanie. Pietro zbliżył się do swej młodej pani, która obojętnie patrzyła w płomień.

— To dwóch z Peretty — rzekł do niej — przybywają bez towarów; jakiegoś pana przeprowadzają przez góry, bo widać paszportu nie ma w porządku.

— Nina! — zawołała pani. I stara sługa powstała i zbliżyła się do komina.

— Oni nie tylko jeść chcą, padrona, mówił dalej chłopak. Czy ten pan może tu znaleść nocleg. Ze świtem dalej ma wyruszyć.

— Zrób mu posłanie w komorze.

Pietro kiwnął głową i wrócił do stołu.

Wszyscy trzej zasiedli koło stołu, parobcy bynajmniej na nich nie zwracali uwagi. Dwóch z nich, byli to *contrabandieri*, dobrze uzbrojeni, w kurtkach lekko zarzuconych, w kapeluszach głęboko zaciśniętych na oczy. Na powitanie skłoniwszy się głową obecnym, jako dobrze znajomym, i zapewniwszy wygodne miejsce swojemu towarzyszowi, zasiedli i jedli.

Signore z którym przybyli nie jadł. Zdjął kapelusz z wysokiego czoła, przeciągnął ręką po włosach i skierował oczy na miejsce i towarzystwo, w którem się znajdował. Na ścianach czytał węglem napisane pobożne przysłowia, widział w kącie obraz Madonny przed którą się lampka paliła, a obok niej kury na grzędzie spały, a dalej, maisowe kłosy powiązane i w porządku zawieszone u pułapu; to znów policę, na której poustawiane były dzbany i flaszki, a poniżej nagromadzone skóry i kosze. Dziewczyna przy kominie ściągnęła w końcu jego oczy. Ciemny profil ostro i pięknie odbijał się na purpurowem tle płonącego ognia; jej grube czarnych włosów sploty zakrywały plecy, skrzyżowane ręce wsparła o kolano, gdy drugą nogą dotykała o kamienną podłogę. W jakim była wieku trudno było odgadnąć. Wszelako z jej ruchów i postępowania postrzegł, że była gospodynią tego domu.

— Czy nie macie wina u siebie, padrona? — zapytał w końcu.

Zaledwie wyrzekł te słowa, dziewczyna jakby błyskawicą rażona, powstała, i wyprostowana stanęła przy kominie, wspierając się o trzon obiedwiema rękami. W tej samej chwili zbudził się pies. Dzikie warczenie wydobyło się z jego dychawicznej piersi. Podróżny naraz spostrzegł skierowane ku sobie czworo iskrzących oczu.

— Mogęż zapytać, czy macie wino w swoim domu, padrona? — powtórzył raz drugi. Jeszcze tych słów nie skończył, gdy pies z nieopisaną wściekłością, wyjąc rzucił się na niego, zębami zerwał mu płaszcz z ramion i byłby napadł po raz drugi, gdyby go nie powstrzymało ostre wezwanie jego pani.

— Precz Fuoco, precz! leżeć zaraz! Pies stał wciąż na środku izby i gwałtownie machał ogonem, nie spuszczając oczu z podróżnego.

— Uwiązać go w stajni, Pietro! — rzekła dziewczyna na wpół głośno. Stała ona ciągle przy kominie, jakby z miejsca ruszyć się nie mogła; powtórzyła rozkaz, gdy Pietro się wahał, bo od wielu lat zwykłe miejsce nocnego spoczynku starego zwierzęcia było przy kominie. Powstał szmer między parobkami, pies z trudnością dał się wyprowadzić, długo jeszcze słychać było ze dworu jego wycie i skomlenie.

Tymczasem służąca na skinienie pani przyniosła wina. Podróżny napił się, podał kieliszek swoim towarzyszom, i zamyślił się o dziwnem zamieszaniu, którego przez psa stał się powodem. Parobcy, jeden po drugim składali łyżkę, a powiedziawszy: dobra noc padrona, wynosili się z izby. Zostali tylko trzej nowoprzybyli z gospodynią i starą sługą.

— Słońce wschodzi o czwartej godzinie — rzekł na wpół głośno do podróżnego jeden z przemytników. — Excellenza nie potrzebuje wcześniej wstawać, aby na czas stanąć w Pistoi. A i konie też muszą wypocząć przynajmniej sześć godzin...

— Dobrze, moi przyjaciele. Idźcie spać.

— Obudzimy was Excellenzo.

— Na wszelki wypadek — odrzekł podróżny. — Chociaż Madonna wie, że nie często mi się zdarza przespać sześć godzin. Dobra noc, Carlone; dobra noc maestro Baccio.

Ludzie z uszanowaniem uchylili kapelusze i powstali. Jeden poszedł do komina i rzekł: Mam dla was ukłon, padrona; pozdrawia was Costanzo z Bolonii i przypomina, że tu zostawił swój nóż jak był w zeszłą sobotę.

— Nie—odrzekła krótko i niecierpliwie.

— Bylibyście mu odesłali, powiedziałem mu, gdyby tak było. A potem....

— Nino!—przerwała mu—pokaż im drogę do komory jeśli jej zapomnieli...

Służąca powstała.

— Chciałem jeszcze tylko powiedzieć, padrona—mówił ów człowiek dalej z wielkim spokojem, mrugając z lekka oczami—że tamten pan nie pożałuje pieniędzy, jeśli mu lepsze dacie posłanie, niż innym. To chciałem powiedzieć, padrona, a teraz niech Madonna użyczy wam dobrej nocy signora Fenice.

Potem zwrócił się do towarzysza, i jak on skłonił się przed obrazem w rogu izby, przeżegnał się i obadwaj ze służącą wyszli z mieszkania.

— Dobra noc, Nino — zawołało dziewczę. Stara odwróciła się jeszcze na progu, czyniąc znak pytający, lecz następnie, ulegając rozkazowi szybko za sobą drzwi zamknęła.

Zaledwie zostali sami, Fenice chwyciła za mosiężną lampę, która stała z boku komina i pospiesznie ją zapaliła. Ogień na kominie gasł coraz bardziej; trzy czerwonawe płomyki lampy część zaledwie izby rozświetliły. Zdawało się, jakby ta ciemność ukołysała do snu podróżnego, gdyż siedział przy stole wsparłszy głowę na rękach, dobrze otulił się płaszczem i widocznie zamierzył tak noc przepędzić. W tem usłyszał wymówione swoje imię i podniósł oczy. Lampa paliła się przed nim na stole, naprzeciwko niego stała młoda gospodyni, która go po imieniu wezwała. Oczy jej z wielką siłą spotkały jego wejrzenie.

— Filippo — rzekła — czy już mnie nie poznajesz?

Przez długi czas badawczo wpatrywał się w piękne oblicze, zarumienione od płomienia lampy, albo też z obawy, jaką odpowiedź otrzyma jej pytanie. Twarz ta godną była przypomnienia. Długie miękie rzęsy czarnych oczu wznosząc się i opadając, łagodziły surowy wyraz oczu i pociągłego nosa. Usta kwitły młodością, tylko gdy milczała, widoczny był na nich odcień rezygnacyi, cierpienia i pewna dzikość, z któremi w harmonii zostawało posępne spojrzenie. Teraz dopiero, gdy stanęła przy stole, w całym blasku okazała się jej kształtna postać, szczególniej uwydatniała się piękność ramion i szyi. A przecież Filippo rzekł po niejakim namyśle:

— Rzeczywiście, nie znam was, padrono.

— To niepodobna — odrzekła tonem dziwnie głębokiego przekonania. Przez siedm lat wszak dość mieliście czasu, aby mnie w pamięci zatrzymać. To dość długo, aby obraz mógł się wyryć w duszy.

Jedno jakieś słowo teraz dopiero wyrwało go z osobliwszych myśli.

— Tak, dziewczę — rzekł on — kto przez siedm lat nic innego nie czyni, tylko myśli o pięknej twarzy dziewczyny, ten w końcu ciągle ją ma w pamięci.

— Tak — rzekła zamyślona — tak właśnie powiedzieliście wtedy, że o niczem innem myśleć nie będziecie.

— Przed siedmiu laty? oh! przed siedmiu laty miałem jeszcze bardzo lekko w głowie, a tyś wzięła na seryo to, co powiedziałem...

Skinęła trzykrotnie głową, potakująco.

— I dla czegóż nie miałam uwierzyć? wszak na sobie samej przekonałam się, żeście mieli słuszność...

— Kochane dziecię — rzekł z dobrotliwą miną dziwnie odbijającą od jego poważnych rysów — przykro to mi bardzo. Przed siedmiu laty myślałem tak jeszcze, wszak wiedzą o tem wszystkie kobiety, że czułe słówka mężczyzny tyle mają znaczenia, co marki karciane, które rzeczywiście w danej chwili zamieniają się na brzęczące złoto, jeśli się je pozyskało. Przed siedmiu laty o was tylko myślałem kobiety. Dziś, mówię otwarcie, rzadko o was myślę. Moje dziecię, o tylu ważniejszych rzeczach mamy do myślenia.

Ona milczała, jakby tego wszystkiego nie rozumiała, i cierpliwie czekała aż powie jej coś, coby się do niej odnosiło.

— Zaprawdę, jak przez sen przypominam sobie — rzekł po długiem dumaniu, żem już kiedyś zwiedzał tę część gór. Możebym rozpoznał i wioskę i dom, gdyby mgły nie było. Tak, tak w samej rzeczy, było to przed siedmiu laty, gdy mnie lekarz w góry wyprawił, a ja jak waryat jaki puszczałem się po najspadzistszych drogach.

— Wiedziałam dobrze — rzekła z uśmiechem pełnym zachwytu i radości — wiedziałam dobrze, żeście zapomnieć nie mogli. Wszak pies mój, Fuoco, nie zapomniał także swojej starej nienawiści do was, ani ja.... mojej starej miłości.

Mówiła to z wielką stanowczością i tak wielką siebie pewnością, że podróżny coraz bardziej zdziwiony spoglądał na nią.

— Przypominam sobie także pewną dziewczynkę — rzekł — którą spotkałem na szczycie Apenin, i która mnie zaprowadziła do swoich rodziców. Inaczej, musiałbym wśród skał nocować. Wiem, że mi się podobała.

— O tak — przerwała — i bardzo...

— Alem ja nie podobał się dziewczynie. Długą z nią prowadziłem rozmowę, w czasie której ledwie z dziesięć wyrazów przemówić zechciała. A kiedym śpiące posępne usteczka pocałunkiem zamyślił zbudzić, to widzę ją jeszcze teraz, jak odskoczyła na stronę, i pochwyciła w obie ręce kamień, tak że o mało nie zostałem ukamienowany. Jeśli jesteś tą samą dziewczyną, to jak możesz mówić o swojej dla mnie starej miłości?

— Miałam wtedy lat pietnaście, Filippo i bardzo się wstydziłam. Byłam zawsze popędliwą i samotną, nie umiałam jeszcze wysłowić się gładko. A nadto obawa rodziców, którzy wtedy żyli, jak o tem wiecie... Mój ojciec miał wiele trzód, wielu trzymał pasterzy i był właścicielem tej oberży. Nie zmieniło się wiele od tego czasu, tylko już on tu nie rozkazuje i nie rządzi; dusza jego poszła do raju! A przed matką najbardziej się wstydziłam. Czy wiecie, że teraz w tem samem miejscu siedzicie, co wtedy... wychwalaliście wino, któreśmy mieli z Pistoi. Więcej słyszeć nie mogłam, matka ostro spoglądała na mnie, wyszłam na dwór i stanęłam przy oknie, aby popatrzeć na was jeszcze... Byliście wtedy młodszym, ale nie piękniejszym... Macie jeszcze dziś te same oczy, któremi pociągaliście ku sobie kogoście zechcieli, ten sam głos posępny, na którego dźwięk ogarnęła zazdrość mo jego psa, biedne stworzenie, które dotąd kochałam. Pomiarkował to, że was więcej kocham, pomiarkował lepiej, niżeli ja sama.

— W istocie — rzekł — był on owej nocy, jak szalony. Dziwna-to była noc! Prawdziwie oczarowałaś mnie, Fenice. Przypominam sobie, żem się nie mógł uspokoić, gdyś wyszła z domu, i nie wracała, pobiegłem za tobą na dwór i szukałem cię... Dojrzałem twoję białą chusteczkę na głowie, a potem zniknęłaś mi, skoczywszy do swojej komory przy stajni.

— To był mój pokój sypialny, Filippo; wejść tam przecież nie powinieneś.

— A jednak... chciałem... Jakże długo tam stałem i pukałem i prosiłem; łotr ze mnie był wielki, gdyż sądziłem, że mi głowa pęknie, jeśli cię raz jeszcze nie zobaczę.

— Głowa? Nie, powiedzieliście serce. Oh, pamiętam wszystkie słowa, któreście wyrzekli.

— A wtedy nie chciałaś nic o nich wiedzieć?

— Co się ze mną działo, myślałem, że umrę. Stanęłam w najciemniejszym kąciku i myślałam, jeśli tylko się odważę, to przyczołgam się do drzwi i przytknę usta do tej szczeliny przez którą mówiliście, abym waszym oddechem odetchnęła.

— Szaleństwo zakochanej młodości! Gdyby twoja matka nie nadeszła, tobym stał jeszcze dłużej, a tymczasem otworzyłabyś mi drzwi. Wstydzę się prawie teraz, gdy pomyślę, że zły i rozgniewany odszedłem, i calutką noc marzyłem o tobie.

— Ja po ciemku siedziałam i czuwałam — rzekła. — Nad rankiem sen mnie zmorzył, a kiedym się zbudziła i na słońce spojrzała, gdzieżeście byli? Nikt mi nie powiedział, a zapytać nie chciałam. Taką wtedy powzięłam ku ludziom nienawiść, jakby was życia pozbawili, żebym was nigdy już nie oglądała. Jak stałam pobiegłam w góry, szukałam was wszędzie, wołałam, a niekiedy przeklinałam, gdyż przez was, nie mogłam już kochać żadnego mężczyzny. Wreszcie zeszłam na nizinę, lecz przelękłam się sama siebie i wróciłam do domu. Dwa dni już tam nie byłam—za powrotem, ojciec mnie wybił, a matka ze mną mówić nie chciała. Domyślacie się po co wybiegłam. Tylko pies Fuoco był ze mną; ale w samotności, gdym was po imieniu wzywała, wył przeraźliwie.

Nastąpiła pauza, w czasie której spojrzenia obojga spoczywały na sobie. Potem rzekł Filippo:

— Jak dawno rodzice odumarli cię?

— Trzy lata. Oboje umarli w jednym tygodniu; dusze ich są w niebie! Potem udałam się do Florencyi.

— Do Florencyi?

— Tak. Wszak powiedzieliście, że jesteście z Florencyi. Tam przebywałam u żony pewnego caffetiere na San Miniato, którą mi wskazali znajomi contrabbandieri. Cały miesiąc tam bawiłam i co dzień wysyłałam ją do miasta, aby się o was pytała. Wieczorem sama schodziłam i szukałam was. Wreszcie posłyszeliśmy, żeście od dawna wyjechali, a nikt nie umiał powiedzieć dokąd.

Filippo powstał i dużemi krokami przechadzał się po izbie. Fenice zwróciła się do niego i ścigała go wzrokiem, lecz ani śladu nie widać na niej było tego niepokoju, jaki nim miotał. Wreszcie przystąpił do niej, popatrzył na nią przez chwilę i rzekł:

— Po coś mi to wszystko wyznała, biedaczko?

— Przez siedm lat dosyć miałam czasu aby nabrać odwagi. Oh! gdybym wam wtedy to wyznała, możeby to głupie moje serce nie tyle wycierpiało. Ale ja wiedziałam że powrócicie, że powrócić musicie, Filippo; lecz że to tak długo trwać będzie, tego się nie spodziewałam, i to mnie boleścią przejmowało. Ale jakież ze mnie dziecko, że o tem mówię. Co mam się kłopotać o to, co minęło. Filippo jesteś przy mnie, ja jestem przy tobie i na wieki do ciebie należę!...

— Kochane dziecię, — rzekł z cicha i umilkł jakby się lękał tego wymówić co miał na języku. Ona jednak nie postrzegała tego, że on

zamyślony i milczący przed nią stoi, spoglądając w dal nieruchomemi oczami. Mówiła spokojnie dalej; zdawało się jakby dobrze jej były znane wyrazy, które po tysiąc razy sobie powtarzała: on powróci, a wtedy powiesz mu to i to.

— Wielu już żądało mojej ręki, tak tu jak we Florencyi. Ja ciebie tylko pragnęłam zaślubić. Od czasu, jak byłam we Florencyi, przekonałam się, że smutno żyć w górach. Sprzedamy dom i trzody, będę bogatą. Dosyć dało mi się we znaki to dzikie życie. We Florencyi trzeba było wszystkiego się uczyć, co powinna znać obywatelka miejska. Dziwiono się też, że tak szybko wszystko pojmowałam. Prawda, niezbyt wiele miałam czasu, a wszystkie moje marzenia mówiły mi, że w tem miejscu szukać mnie będziecie. Pytałam się też wróżki, i wszystko się sprawdza.

— A gdybym ja miał już żonę?

Spojrzała na niego robiąc duże oczy.

— Chcesz mnie doświadczać, Filippo! Nie masz jej. I to mi strega powiedziała. Ale gdzie przebywałeś, tego nie wiedziała.

— Miała słuszność, Fenice. Nie mam żony. Ale skąd ona albo ty, możecie wiedzieć, że ja mieć ją pragnę?

— Jak to możesz nie chcieć? — zapytała z niewzruszoną pewnością.

— Usiądź-no przy mnie, Fenice! Wiele mam ci do powiedzenia. Daj mi rękę i przyrzeknij, iż rozsądnie wysłuchasz mnie aż do końca, moja biedna przyjaciółko!

Gdy nie uczyniła zadosyć jego wezwaniu mówił dalej z bijącem sercem, stojąc przed nią i smutnym wzrokiem spoglądając na nią, gdy ona tymczasem jakby przeczuwając że tu idzie o jej życie, przymknęła oczy, lub ponuro w ziemię spoglądała.

— Od dawnego już czasu musiałem uciekać z Florencyi — opowiadał on. Wiesz, że tam były owe polityczne zaburzenia, które tu i ówdzie się pojawiały. Jestem adwokatem, znam więc dużo ludzi i w ciągu roku piszę i otrzymuję mnóstwo listów. Nadto byłem niezależny, otwarcie wygłaszałem moje opinie, gdzie tego była potrzeba — zaczęto mnie prześladować, chociaż nigdy nie przykładałem ręki do żadnych tajemnych machinacyj. W końcu musiałem wydalić się, jeśli nie chciałem się narazić na nieskończone badania i więzienia — i to bez żadnego pożytku i celu. Udałem się do Bolonii, gdzie żyłem samotnie, proces mój prowadziłem, mało kogo z mężczyzn widywałem, a tem mniej kobiet, gdyż z owego trzpiota, który przed siedmiu laty wcisnął się do twojego serca, nie pozostało we mnie i śladu; dziś inne rzeczy mnie zajmują — pęka mi głowa, a jeśli wolisz serce — gdy czego nie mogę usunąć, ale już nie zasuwy od drzwi pokoiku pięknej dziewczyny. Słyszałaś może, iż w ostatnich czasach i w Bolonii było niespokojnie. Aresztowano mnóstwo ludzi, a między nimi jednego, którego życie i postępowanie znam od dawna, i wiem doskonale, jak jego duszy wstrętne są podobne rzeczy, gdyż one nie poprawiają nadużyć, a pomagają tyle, jakbyście wpuścili wilka do obory dla tego że pomiędzy waszemi owcami wkradła się choroba. Ale co tu o tem mówić. Dosyć ci na tem, że mój przyjaciel prosił mnie, abym był jego adwokatem, i pomogłem mu do odzyskania wolności. Zaledwie się o tem dowiedziano na mieście, gdy pewnego dnia jakiś nędznik napadł mnie na ulicy i obrzucił obelgami. Nie mogłem się go inaczej pozbyć, jak uderzając w piersi ręką, gdyż był pijany i niegodzien innej odpowiedzi. Zaledwie jednak przecisnąłem się przez nagromadzony tłum i wszedłem do kawiarni, przystąpił do mnie jakiś krewny owego człowieka i z wściekłością i gniewem zaczął mi wymawiać, żem sobie postąpił jak człowiek pozbawiony honoru, odpowiadając pięścią na wyrazy, zamiast uczynić to, coby każdy galant'uomo uczynił. O ile możności odpowiadałem z umiarkowaniem wielkiem, gdyż w tem wszystkiem upatrywałem naprzód ułożone zamiary, uczynienia mnie nieszkodliwym na zawsze. Ale jedno słowo wywołuje drugie i w końcu nieprzyjaciele wzięli górę nademną. Ów jegomość udał, że musi przeprawić się przez góry do Toskanii, i nalegał na mnie, abym tam rzecz załatwił. Zgodziłem się na to, gdyż czas już był, aby jeden z nas rozważniejszy, okazał zapalonym głowom, że nie brak męztwa jest tu przyczyną naszej wstrzemięźliwości, lecz zupełny brak nadziei, aby w obec przemożnej siły nie wystąpiły tajemne działania. Lecz gdy onegdaj udałem się po paszport, odmówiono mi go, nie raczywszy nawet wyjaśnić dla jakich przyczyn. Podobno z wyższego polecenia. Widoczną dla mnie stało się rzeczą, że albo pragną ściągnąć na mnie hańbę, iż nie przyjąłem pojedynku, albo mnie do tego znaglić, iżbym przebrany przekradł się przez granicę, i gdzieby mnie w jakiej zasadzce schwytano. Następnie mianoby powód wytoczenia mi procesu i ciągnięcia go tak długo jakby im to na rękę było.

d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Sieradz, w lutym 1876 r.

Po kilku miesięcznej przerwie, mogę znowu pogawędzić z Wami, czytelnicy łaskawi.

A najpierw apropos karnawału. Lubo wielu z pomiędzy pessymistów twierdzi, iż prowincya nasza *chce się bawić a nie umie*, do naszego atoli miasta, podobne twierdzenia w żaden sposób nie mogą być skierowane. Bez przesady mogę owszem powiedzieć, że tutejsze społeczeństwo bawi się dobrze, i że rozumna organizacya życia towarzyskiego, znajduje tu grunt, na którym zgodnie z duchem i potrzebami czasu, z potrzebami wreszcie społeczeństwa całego, rozwija się szybko, — gdy o innych partykularnych miastach, z góry trzeba odpowiedzieć przecząco.

Karnawał tego roku, ochoczo otoż że aż miło jest spędzany, zwłaszcza przez młodsze pokolenie. Dowodzą tego liczne bale i wieczorki, które tu naprzemian mamy co sobota, i z których dochód jak zwykle przeznaczony jest na zakłady dobroczynne naszego powiatu.

Podotąd były dane dwa bale, wyłącznie prawie dla obywateli ze wsi: pierwszy dnia 15 stycznia r. b., pomimo sprzyjającej pogody nie powiódł się. Wszystkich dam tańczących było tylko bowiem 8, gdy mężczyzn było na sali 64; drugi bal dany d. 5 b. m. zgromadził 40 dam i 80 panów i powiódł się dobrze. Wieczorków tańcujących było dotąd także 2, a mianowicie: pierwszy d. 22 stycznia, na którym tańczono do upadłego i na nim to *poraz pierwszy* bawiło się wiele osób *bez różnicy wyznania*. Takiej jedności towarzyskiej nasz Sieradz dawno już nie pamięta, jaka się na tym wieczorku, uwydatniła. Drugi niemniej huczny wieczorek odbył się dnia 29 stycznia, oba te wieczorki przeciągnęły się do godz. 8 rano.

Oprócz tego zapowiedziane są jeszcze: dwa wieczorki tańcujące na 12 i 26 b. m., i jeden bal publiczny na dzień 19 b. m., o których i o działalności rady opiekuńczej zakładów dobroczynnych, w jednym z następnych listów, donieść wam nie omieszkam.

W tem miejscu wypada mi zaznaczyć, iż składka z dobrowolnych ofiar w miejsce powinszowań noworocznych złożona w dwóch tutejszych aptekach, razem wynosiła rs. 15, które rozdane zostały pomiędzy ubogich miasta Sieradza.

Z powyższego, sądzicie zapewne, mili czytelnicy, iż dbają tutaj więcej o cywilizacyę nóg niż głowy? Mylicie się w takim razie, i o cywilizacyi głowy pamiętamy. Począwszy od marca czyli w poście dawane będą odczyty publiczne. Pierwszą prelekcyę, jak słyszę, ma mieć Dr. Stan, a przedmiotem odczytu ma być rzecz „Historyczno-statystyczne zarysy Sieradza.“ Temat ten powinien żywo zainteresować wszystkich w ogóle mieszkańców dobrze myślących, a chcących coś o przeszłości grodu, w którym przemieszkują dowiedzieć się.

Byłem w tych dniach w „Ulu“ czyli w ochrzczonej tem mianem fabryce p. B. Krzyżanowskiego; oglądałem nowourządzony młynek parowy, który dopiero od dwóch tygodni funkcyonuje. Pan K. zamierza wkrótce na większą skalę urządzić młyn parowy. Szczęść Boże!

Maksymilian Kempiński.

UŻYTKI Z ROŚLIN.

(dalszy ciąg).

Kukurydza sproszkowana i sfermentowana w połączeniu z wodą, tworzy napój zwany *Chicha*, bardzo powszechny w Kordylierach; kukurydza zaś wygotowana i sfermentowana w związku z cukrem, daje napój *Mascato*. Ryż gotowany, połączony po sfermentowaniu z wodą, wydaje płyn znany w Ameryce pod nazwą *Guarazo*. *Maniok* utarty z patatami słodkiemi tworzy napój *Cachiry*, w powszechnem będący użyciu w Guyanie, płyn zaś otrzymany z fermentacyi patatów i kassawy, nosi w tym kraju nazwę *Paya* lub *Payauara*.

W okolicach Trypoli napój zwany *Lagbi*,

jest sokiem palmy daktylowej, z innych gatunków palm otrzymują podobne soki, jako to: *Cha* w Chinach i *Sinday* w Indostanie. Ziarna prosa murzyńskiego czyli *sorga* (sorghum vulgare), sfermentowane tworzą napój zwany w Chinach *Kao-lyang*.

Na całym Wschodzie upajają się *haszyszem* będącym wyciągiem z konopi. W Polinezyi spożywają korzenie *pieprzu kawańskiego* (Macropiper methysticum), najpierw zżute, następnie wyciśnięte i sfermentowane. W Kolumbii nacinają trzon *drzewa krowiego* (Galactodendron utile), z którego wypływa ciecz biała jak mleko, dająca pożywienie smaczne i posilne.

Cukier wyrabianym bywa z trzciny cukrowej i z buraków, nie ma przecież żadnej wątpliwości, że przy zastosowaniu odpowiednich procesów w manipulacyi tego produktu, można byłoby otrzymywać go z soku klonu cukrowego, palm, kukurydzy, ryżu, sorga, dyni, marchwi i t. p.

Wiele owoców, jako to: figi, morele, śliwki, pokrywa się okwitem cukrowym, wszelako cukier ten zwany *glukozem*, różni się wielce od otrzymywanego z buraków i trzciny, gdyż nie krystalizuje. Wszystkie części roślinne zawierające cukier mogą w skutek fermentacyi wydawać alkohol. Produkt ten pozyskany z dystylacyi wina, nosi nazwę *spirytusu winnego*, gdy zaś po powtórnej dystylacyi dosięga na alkoholmetrze 75 stopni przetwarza się w wódkę. W całej północnej Europie otrzymują ten ostatni przetwór z ziemniaków lub z ziarn zbożowych a mianowicie z żyta. Wódkę zwaną *jałowcówką* otrzymują z jagód jałowcu, tak zwany *goldwaser* jest wytworem alkoholowym wydzielonym z owoców jałowca pomieszanych z ziołami wonnemi. *Whiskey* fabrykowany w Anglii, Szkocyi i Irlandyi, otrzymuje się z dystylacyi jęczmienia, żyta, ziemniaków i cierni (prunus spinosa). W Szwajcaryi i Niemczech dystylując roztarte i sfermentowane wiśnie z ich pestkami, pozyskują napój zwany *Kirchenwasser*. Z tychże owoców roślinnych z dodaniem śliwek i brzoskwiń, wyrabiają w Zara napój zwany *Maraszyno*.

Troster fabrykowany nad Renem, otrzymuje się z dystylacyi wytłoczyn winnogronowych, pomieszanych z owocami roślin trawiastych.

Ze śliwek przedystylowanych i sfermentowanych, produkują w Austryi *śliwowicę*. *Rakia* dalmacka, jest produktem dystylacyi wytłoczyn winnych gron, połączonych z rozmaitemi ziołami pachnącemi.

Rum antylski otrzymuje się z dystylacyi melasu i szumowin cukru trzcinowego. *Tafia* wyrabiana w Antyllach i Guyanie, pochodzi z dystylacyi moszczu trzciny cukrowej. Napój zwany przez Meksykanów *Aqua ardiente* otrzymuje się z fermentacyi soku agawy. Wódkę pędzoną z ryżu na Kamczatce nazywają *Watky*, *Ruck* amerykanów, jest po prostu wódką otrzymywaną z dystylacyi soku kakaowego. Napój egipski *arabi* pochodzi z dystylacyi soku palmy daktylowej.

Wódka zaprawna ziołami wonnemi wydaje wiele napojów. *Kuraso* jest tego rodzaju wódką, do której wchodzą skórki gorzkiej pomarańczy, gwoździki, cynamon a niekiedy kora drzewa fernambukowego, nadająca cieczy kolor czerwony. *Kassis* jest również wódką, pomieszaną z cukrem i czarnemi porzeczkami. *Absynt szwajcarski* jest związkiem alkoholu piołunowego z wodą ocukrzoną kwiatu pomarańczowego, rozbitą z białkiem i zabarwioną sztucznie kolorem zielonym. Wszelako absynt fabrykowany we Francyi jest po prostu alkoholem pomieszanym z roztworem olejku anyżowego, który tam barwią szpinakiem. *Bitter holenderski* stanowi mieszaninę skórek pomarańczowych, goryczki, cynamonu, trzciny cukrowej, omanu (Inula Helenium) i kolendru (colandrum sativum). Wszystko to proszkuje się i maceruje z jałowcem osłodzonym. *Anyżówka bordoska* jest związkiem nasion anyżowych połączonych z kolendrowemi i z koprem. Mieszanina ta po sproszkowaniu łączy się z alkoholem i wodą a następnie dystyluje. *Vespetro* wyrabia się z nasion dzięgla i kolendru, do których dodają w małej ilości anyżu i kopru. Ocet jest produktem roślinnym, rezultatem fermentacyi zwanej *octową*, która polega na przemianie wyskoku w kwas octowy, działaniem tlenu powietrza. Stąd też wszelkie materye zawierające alkohol czyli wyskok mogą wytwarzać ocet.

Wiele korzeni roślinnych służy sztuce kulinarnej, pieprz z którego użytkujemy jest także owocem pochodzącym z krzewu indyjskiego, zwanego *pieprzem czarnym* lub *aromatycznym* (piper nigrum). Po dojrzeniu jagódki jego zbierają się i suszą na słońcu. *Gałka muszkatowa*, pochodzi z drzewa tejże nazwy (Myristica moschata) krzewiącego się na wyspach Moluckich i uprawianego w Indyach, Kochinchinie, Guyanie, Martynice, w Guadelupie i t. p. Gałkę tę otacza błona popękana, barwy pomarańczowej, która w handlu całkiem niewłaściwe nosi nazwę *kwiatu muszkatołowego*. Cynamon jest korą drzewa cynamonowego ceylońskiego, dosięgającego 35 stóp pols. wysokości, i uprawianego w Antyllach, Indyach wschodnich, na Reunion i t. p. Gwoździki są pączkami kwiatowemi drzewa tejże nazwy, krzewiącego się na wyspach Moluckich, w Guyanie, na Martynice i Gwadelupie. Pąki kwiatowe *kaparków* (Caparis spinosa) nie rozwinięte i w occie przechowane, stanowią przyprawę do potraw do jakiej możemy zaliczyć wanillę, anyż, badyanek chiński, pieprz turecki zwany *koralem ogrodowym*, i pieprz angielski. Imbier pochodzi z korzeniaków rośliny zwanej w języku botanicznym *zingiber officinale*, uprawianej w Antyllach.

Nazywamy *Kardamonem* owoce rośliny tejże nazwy (Amonum Cardamonum) krzewiącej się w Indyach wschodnich i na wyspach Archipelagu indyjskiego. Aromatyczne ziarna kardamonu mają smak ostry, palący.

Wypada nam zaznaczyć, że wszędzie gdzie człowiek się osiedlił, zdołał wynaleść środki fabrykowania z rozmaitych substancyj roślinnych bądź przetworów rozdrażniających jego system nerwowy, bądź wpływowych na sen zapełniony roskosznemi marzeniami.

Do pierwszej kategoryi należą napoje wyskokowe wywołujące wesołość, smutek lub majaczenie obrzydłe właściwe opilcom; kawa jest płynem drażniącym, pobudzającym do działalności funkcye naszego mózgu. Konsumcya jej roczna w samej Europie dochodzi 800,000,000 funtów.

Herbata rozradza się w Chinach i Japonii. Chińczycy obrywają z tego krzewu liście, umieszczają je w kadziach po nad piecem, mieszając nieustannie, następnie rozkładają na lasach do suszenia, zwijają w rulony, czyszczą i zamykają w skrzyniach czyli cybikach transportowych. *Herbata zielona* jest produktem szybkiego osuszenia liści, *czarna* zaś stanowiąca gatunek pośledniejszy, otrzymuje się z powolnego ich osuszenia. Z naparzonych liści herbaty pozyskuje się napój, ułatwiający trawienie, nadający większą cyrkulacyę krwi i podniecający funkcye naszego umysłu.

Czem jest herbata dla europejczyków, chińczyków i japończyków, tem *Matte* dla mieszkańców Brazylii i Paragwaju. *Matte* jest wyciągiem liści sproszkowanych *ostrokrzewu paragwajskiego* (Ilex paraguayensis).

Koka (Erythroxyton Coca) jest krzewem peruwiańskim, ktorego liście zastępują herbatę, kawę i wódkę europejczyka; peruwianin lub boliwianin posypuje te liście wapnem niegaszonem i żuje z widocznem zadowoleniem. Żując w ustach kokę nie zna on utrudnienia, odbywa długie podróże lub pracuje w kopalniach bez żadnego wysiłku, bez uczucia głodu lub pragnienia. Wszelako jeżeli do liści koki dodano tytuniowych, a zwłaszcza czerwonych torebek kwiatowych *tongi*, następuje odurzenie niebezpieczne; wyobraźni przedstawiają się wówczas dziwne widziadła. Biada temu kto często doznaje tego rodzaju wrażeń, godziny życia jego są policzone. Wielce jadowite gatunki grzybów nie wyłączając muchomora spożywane są przez kamczadalów, o czem podaje Langsdorf. Mieszkańcy północnej Azyi, krają podobne grzyby na drobne kawałki, które suszą a następnie spożywają. Niekiedy grzyby te mieszają z brusznicą (Vaccinium vitis idaea) lub naparzają z wierzbówką (Epilobium) przysposabiając napój zastępujący im wino. Skutki wynikające z użycia tego narkotyku zależą od jego ilości, od temperamentu i fizycznej budowy człowieka. Upojenie dochodzi często do tego stopnia, że z odurzeń rzucają się na siebie z bronią w ręku, po szale następuje zwykle sen głęboki. *Mak ogrodowy* zawiera w sobie sok mleczny, który za nacięciem łodygi, liści lub torebki nasiennej wypływa a po wysuszeniu stanowi tak zwany *Makowiec* (opium). Narkotyk ten odgrywający ważną rolę w medycynie, przychodzi do Europy ze Smyrny, Konstantynopola, z Egiptu, Persyi lub Indyj. Anglicy wysyłają pochodzący z tego ostatniego kraju do Chin, gdzie znajduje namiętnych palaczy. Cybuszek stanowi tam rurka dwadzieścia przeszło cali długości mająca, zakończona fajeczką metalową z odpowiednim otworem, w którą ładuje się makowiec. Jakkolwiek edykt skazuje na śmierć każdego chińczyka sprzedającego lub palącego opium, to jednak nie brak tego rodzaju fajczarni publicznych. Są to ciupy niskie odrażające, do których gromadzi się najbiedniejsza klasa ludności, odurzająca się narkotykiem w tych zaułkach.

W Pekinie dla tego rodzaju opilców istnieją liczne zakłady. Każdy z tych przedstawia

szereg sal ciemnych, wilgotnych z oknami hermetycznie osłoniętemi. Na ścianach zawieszone bywają sentencyonalne napisy czerpnięte z Konfucyusza, na ziemi rozpostarte są maty z pęczkami słomy. Słabe światło lampy migoce w tych miejscach ponurych. Wchodząc do takiej sali, czujemy się naraz odurzeni dymem z makowca ostrym i drażniącym. Na podłodze spostrzegamy leżących z głową opartą o pęczek słomy, z cybuszkiem opiowym w ustach, i ręką gotową sięgnąć po filiżankę herbaty, dostarczaną każdemu palaczowi przez uprzejmego gospodarza. Spojrzyjmy na te postacie wstrętne: twarz blada obrzękła, oczy szklanne, bezmyślne, zapadłe w orbitach, okolone niebieskawą obrączką, źrenice rozszerzone, spojrzenia idyotyczne, zwierzęce, głupowate, a z ust spalonych gorączką wybiegają słowa niezrozumiałe. Zwykle palacz opiowy jest milczącym, w miarę jednak upajania się narkotykiem, staje się gadułą. Wymowa ta ma przecież wielce ścieśnione granice, ożywienie trwa tylko chwilowo. Opilec opiowy bywa pospolicie wychudłym, mięśnie jego słabe, ma stąd ruchy niepewne, głowę opuszcza na piersi, i przedstawia w całej postaci stan godny politowania. Namiętność do upajania się opium jest stokroć gorszą od cechującej nałogowych opilców alkoholowych. Palacz opiowy utraca wolę, raz odurzony narkotykiem już go nie porzuca nigdy, organizm jego ulega powolnemu zniszczeniu. Nie ma, powiada Liberman, większego męczeństwa nad to, jakie towarzyszy opilcom narkotycznego makowca. Ludzie bogaci odurzają się opium równie jak ubodzy, za cenę zdrowia pozyskują sny roskoszne, znikome; dla mary oddają rzeczywistość.

Na całym Wschodzie z konopi indyjskich fabrykują *haszysz*; koniuszczki kwiatowe tej rośliny posługują Arabom do palenia jak liść tytuniowy, przysposobione do tego użytku, noszą nazwę *kif*. Najszersze liście i owoce tych konopi spalone w nargillach przez Indyan noszą nazwę *chang*. Żywica w połączeniu ze szczątkami liści stanowi główną podstawę napoju zwanego *churrus* lub *cherris*. Łodygi i liście wzięte przed zbiorem żywicy, tworzą *guniach*, rodzaj tytuniu palonego w fajkach, lub wyrabianego w postaci cygar. W Kairze wyciąg zwany *chatszaky*, wytwarzanym bywa z alkoholu i kory konopianej zebranej przed rozkwitem rośliny. Kwiaty konopi indyjskich upalone i pomieszane z miodem tworzą tak zwany *Esrar* u Turków a *Madzum* u Arabów.

Gotując do zawrzenia haszysz ze świeżem masłem, i parując płyn aż do chwili, w której zaczyna przechodzić w syrop, a następnie zarabiając tenże na ciasto, otrzymujemy wyciąg tłusty, spożywany przez Arabów i przez nich nazwany *Dawanesk*. Odrażającą woń i nieprzyjemny smak tego kordyału zaciera olejek różany lub jaśminowy, dodatek cynamonu, imbieru, gwoździków, wreszcie kantaryd, których celem jest powiększenie własności podniecających wyciągu.

Według opowiadań wielu wędrowców zwiedzających Wschód, haszysz wywierając rozmaite wpływy odpowiednio do przyjętej dozy, działa przeważnie na organa mózgowe, rodzi marzenia nieokreślonej, niewypowiedzianej roskoszy. Marzenia te plączą się z sobą, krzyżują, występują coraz liczniej i wyraziściej, w sposób fantastyczny nie dający się opisać, oznaczyć. Według Lallemanda, haszysz posuwa do egzaltacyi idee w nas panujące i urzeczywistnia ich spełnianie się w naszej wyobraźni. Przy tem wytwarza hallucynacye wielce liczne i rozmaite; wszystkie zmysły, wzrok, słuch, powonienie, smak i dotykanie, ulegają objawom fantazyjnym, wszelako na wzrok i słuch oddziaływają one najmocniej. Wpływy haszyszu na organizm ludzki, powiada Luca, są zmienne odpowiednio do temperamentu, płci, wieku i czułości układu nerwowego. Kobiety i dzieci doznają najżywszych wrażeń, na mężczyzn i osoby dorosłe, wywiera narkotyk działanie nierównie słabsze. Po użyciu haszyszu człowiek dostrzega przedmioty dalej niż są w rzeczywistości, słyszy dźwięki zdaleka go dochodzące, czuje się unoszonym w powietrze, pogardza rzeczami go otaczającemi, pyszni się ze swych czynów, przypomina sobie rzeczy jakich pamięć oddawna zatracił. Pojęcia jego stają się jaśniejsze, przybiera on postawę nacechowaną pewną wyniosłością, i doznaje szczególnego rodzaju zadowolenia. d. n.

PRZYCZYNKI DO RACYONALNEJ PEDAGOGII

zebrał

A. Szymański.

II.

Wpływ pierwszego wychowania na indywidualność dziecka.

Przyjmując za zasadę, że wszelki zły owoc jest wynikiem ziarn poprzednio rzucanych i uprawianych, wykazaliśmy, że złe nałogi w dzieciach spotykane, nie powstają, jak niektórzy błędnie sądzą, ze skłonności dziecka do złego, ale my sami usilną pracą, z wytrwałością godną lepszej sprawy, uprawiamy je i pielęgnujemy. Tak więc i wszelki dobry owoc nie może powstać sam przez się i musi koniecznie rozwinąć się ze zdrowych ziarn, na tejże samej niwie zasiewanych.

Rodzice i wychowawcy, którzy ze świadomością lub bez niej rozwijają w dzieciach jednę z przyrodzonych zdolności, składają drugą z dwóch części, na które podzieliliśmy naszych wychowawców ze względu ich wpływu na wytwarzanie dziecięcej indywidualności, i o nich obecnie mówić będziemy.

Do wychowawców tego rodzaju zaliczymy nie tylko tych, którzy prawidłowo rozwijają jednę z władz dziecka ale i tych, którzy władzę tę rozwijają z uszczerbkiem innych—i nadają umysłowym i duchowym siłom młodego człowieka, jednostronny kierunek.

Z dziećmi tego rodzaju spotykamy się ciągle na każdym kroku; dzieci te pomimo wielu odstręczających wad zawsze pociągają ku sobie jakąś dobrą cechą, zazwyczaj silnie odbijającą od ponurego tła na którem się ona znajduje. Dziecko złośliwe i uparte odznacza się jakąś dziwną zdolnością spostrzegawczą; ówdzie znowu chłopiec tępy i głupi, pociągnie was swem posłuszeństwem; w tym znajdziecie nadzwyczaj bujną wyobraźnią, w innym czułość, a w innym jeszcze odwagę, przytomność lub skromność i t. d. Rozpatrując te zdolności, przekonacie się z pierwszego rzutu oka, że ten ma dziwną chęć i zdolność do matematyki, ten do rysunków, a inny chociaż słabo rozwinięty, z łatwością uczy się na pamięć nawet tego czego nie rozumie. Wszystkie te moralne i umysłowe przymioty, przedstawiają się nam w najrozmaitszych stopniach, z przeróżnymi odcieniami; nieraz są zaledwie w zarodku, a czasami bywają zupełnie rozwinięte i wykształcone w bardzo wysokim stopniu.

Jeżeli, uderzony tym faktem, zasięgniesz informacyi u rodziców lub pierwszych opiekunów dziecka, usłyszysz prawie zawsze jednę i tęż samą odpowiedź:

„To już tak od urodzenia, *dziwne* jakieś dziecko, a *wdało się* to Bóg wie w kogo, chyba by w babkę, świeć Panie jej duszy, bo widzi pan, jego babka a moja matka miała ogromną pamięć, umiała wiele rzeczy i uczyła też swego wnuka ciągle.“ Gdy zaś dziecko objawia te zdolności w wyższym niż zazwyczaj stopniu, wtedy już oprócz wykrzykników: „szczególne dziecko! genialne!“ nic się więcej nie dowiesz, czasami tylko cichy szept matki doniesie do twych uszu modlitwę zanoszoną do Boga z prośbą, o zachowanie go przy życiu, gdyż, wedle podania, dzieci takie zwykle prędko umierają. Widzimy z tego, że gdy wychowawcy pierwszego rodzaju wytwarzają nam dzieci „tępe,“ wychowawcy drugiego rodzaju formują całe zastępy dzieci *„dziwnych“ „szczególnych,“ „wdanych“* lub nawet *„genjalnych.“* Postaramy się teraz o ile możności najzrozumialej objaśnić powstawanie w tych dzieciach stron dodatnich, wykazać treściwie przyczyny istnienia w naszem domowem wychowaniu, tylu rzeczywiście *dziwnych* anomalij.

Poprzednio jeszcze mówiąc o formowaniu dzieci *„tępych“* wypowiedzieliśmy swe zdanie o powstawaniu i stopniowem kształceniu się duchowej strony małego dziecka. Toż samo dzieje się i przy powstawaniu stron duchowych dodatnich. Każda z nich przechodzi to samo stopniowanie. Każda ma swe źródło w pierwszych wrażeniach. W obec tej prawdy nie możemy pominąć milczeniem ważnej niedokładności, z którą spotykamy się ciągle w każdej pedagogicznej książce. Niedokładnością tą jest chaos prawdziwy w wykazywaniu źródeł wszystkich dodatnich i ujemnych cech dziecka, każdy pedagog używa tu wyrażeń dowolnych, nie krępuje się nawet tem, co sam poprzednio wyrzekł: każdemu pojęciu, każdemu uczuciu wyznaczają oni coraz to nowe źródła, a źródłom tym nadają coraz to nowe nazwiska. Prawda, powoduje tu nimi chęć uprzystępnienia zrozumienia rzeczy nie specyalistom, ale chęć ta wydaje wręcz przeciwny rezultat; chaos w terminologii tych źródeł nadzwyczaj utrudnia dokładne poznanie ludziom nie znającym elementarnych zasad psychologii, zrozumienie myśli autora, a pozbawiając tej korzyści, odstręcza od czytywania dzieł pedagogicznych. Aby uniknąć tego błędu pomijamy tu subtelny podział umysłowych i duchowych sił człowieka, jak również podział drobiazgowy ich źródeł. W pierw-

szych rozróżniamy strony dodatnie i ujemne, rozmaitości zaś przyczyn wywołujących je nie przyznajemy, a naznaczamy dla wszystkich tych sił jedno tylko źródło: zjawisko. Zjawiskiem nazywamy wszystko, co temu człowiekowi nieznane, pierwszy raz mu się przedstawia, wszystko co tylko w jakikolwiek sposób na jego fizyczną lub duchową stronę oddziaływać może. Zjawiska te, wywołując pierwotne tylko wrażenia, powtarzane, skojarzone ze sobą, wytwarzają uczucia i pojęcia i t. d., t. j. przekształcają powoli mechanizm zmysłów w mechanizm umysłowy. Do tego jedynego środka dodać należy środek, pośrednio tylko działający, dziedziczność t. j. wrodzona skłonność organizmu do łatwiejszego przyjmowania pewnego rodzaju wrażeń, i wrodzona możność do łatwiejszego oddziaływania na nie.

Z tych dwóch źródeł powstają wszystkie duchowe i umysłowe siły człowieka. Z tych dwóch źródeł więc, przy szczególnym zbiegu okoliczności i nasze domowe wychowanie obdarza dzieci okruchami tych dodatnich przymiotów, o których mówiliśmy wyżej. Wyrobienie władz, popędów, uczuć i pojęć w jakimkolwiek kierunku, wypływa z ciągłego wywoływania wrażeń w tymże samym kierunku, z ich jednostronności.

Wiedząc to, łatwo objaśnimy w każdem dziecku istnienie każdej cnoty, każdej zdolności umysłowej, każdego szlachetnego uczucia.

Zdarza się, że dziecko, postawione w najgorszych warunkach wychowawczych, spotyka w którejkolwiek z otaczających je osobistości, indywiduum obdarzone wysoko rozwiniętem uczuciem sprawiedliwości; dziecię to, przyjmując wrażenia ze stosunków tej osobistości z innemi powstające, a także wrażenia które wpływają ze stosunków tej osobistości z niem samem, wcześniej aniżeli inne, zdoła je przyswoić sobie, silniej za każdą razą je odczuwając, wybitnie odróżniać się będzie od swych rówienników tem poczuciem, które z czasem zamieni się w drogocenną ideę.

Tak się kształcą i inne uczuciowe strony małego człowieka. Znajdując jedną z nich w ciągłej z sobą styczności, patrząc ciągle na zjawiska wywoływane zastosowaniem tego uczucia w praktyce codziennego życia, w stosunkach starszych między sobą i w stosunkach starszych do dzieci, dziecko coraz świadomiej odbiera te wrażenia, coraz głębiej odczuwa ich rzeczywistą wartość i wyrabia w sobie z czasem też same popędy, też same uczucia i pojęcia.

Zupełnie tak samo rozwiją się w każdem dziecku jednostronne zdolności umysłowe, można je rozwinąć nawet bardzo nieproporcyonalnie z innemi, tak, że gdy w pewnej sferze przedstawiać będą ogromną giętkość i łatwo pokonywać napotykane trudności, w innych sferach występują bardzo biernie i cofają się przed najmniejszą przeszkodą. Następujący przykład najlepiej to objaśni. Znałem bardzo rozwiniętego i zdolnego człowieka, który nieraz użalał się przedemną na to, że oprócz zdolności i zamiłowania do historyi i geografii, wszelkie inne rozwinął dopiero w późniejszym wieku bardzo usilną pracą. Zdolności zaś i zamiłowanie do historyi i geografii, rozwinął w nim jego ojciec, człowiek chociaż bardzo wykształcony, jednak z rozmaitych względów oddający w wychowaniu swego dziecka tym dwom naukom pierwszeństwo. Dziecko jeszcze czytać nie umiało, a już z powagą dysputowało o losach ludów, jeszcze chodzić dobrze nie umiało, a już odbywało urojone podróże po wszystkich częściach świata. Po kilku latach takiej nauki, gdy z konieczności musiano przystąpić do innych, zauważono ze zdziwieniem, że ów ogólnie dotąd podziwiany chłopiec haniebnie ucieka od zadawanych mu z innych przedmiotów lekcyj, a wykrada ojcu dzieła historyczne, mappy, aby je ukradkiem czytać lub rozpatrywać. Jakiż to jednak miało rezultat?

Przypadkowo rozwinięte należycie jego umysłowe siły w jednej sferze, po kilku latach znalazły się w bardzo niewygodnem sąsiedztwie, gdyż inne siły, inne zdolności, leżały w zupełnem prawie uśpieniu — i gdy niestarczyło ojca, który, być może spostrzegłszy błąd, starał by się takowy z rodzicielską troskliwością naprawić, chłopiec oddany do szkół, nie tylko zyskał miano osła, ale i te elastyczne kiedyś jednostronne zdolności, pozostawione odłogiem zardzewiały i znikły zupełnie. Zbieg okoliczności tylko uratował przyszłość dziecka, pokutującego lat kilka za błąd ojca.

Najwybitniejszy jednak przykład, że pierwsze wrażenia najsilniej oddziaływają na umysłową i duchową stronę człowieka, decydują o jego przyszłym kierunku, przedstawiają nam mieszkańcy dawnej świata władczyni Italii. Jak wiadomo, każde dziecko tego ślicznego kraju, ma silnie rozbudzone poczucie piękna i wysoce rozwinięty smak estetyczny, a przyczyną tego cóż, jeżeli nie zachwycająca przyroda? To nam objaśnia przyczynę bardzo często zjawiającej się nawet w dzieciach słabo rozwiniętych, zdolności do rysunków. Dzieci zwykle od kolebki ulegają wpływom harmonii i piękna, a ponieważ inne wrażenia nigdy nie są przezeń systematycznie odbierane, a te jedne powtarzają się bez przerwy, nic więc dziwnego, że wpływ ich okazuje się najsilniejszym.

Systematyczność odbieranych wrażeń objaśnia nam również i ten smutny fakt, że najgorzej uczący się syn ziemianina, najmniej rozwinięte ze wszystkich jego dzieci, zostaje zwykle gospodarzem, gdyż rzecz szczególna, w tym tylko względzie okazuje jaką taką chęć do pracy, a nawet pracuje gorliwie. Jest to jednak bardzo naturalne, wychowany bez żadnego systemu, przez cały czas swego pobytu w domu nie nauczył się niczego, jedyna poważniejsza rozmowa, której się przysłuchiwał, jedyna rozmowa która najczęściej rozbudzała jego uwagę była o gospodarstwie; odbierane systematyczniej wrażenia, musiały wytworzyć systematyczniejsze pojęcie — i głąb pod każdym innym względem, został pokierowany na gospodarza.

Że zjawiska wywoływaniem stosownych wrażeń, nadzwyczaj potężnie działają na przyszły rozwój i kierunek sił duchowych i umysłowych, potwierdza i ten fakt, że nawet zjawiska fizyologiczne wywołują takież odruchy bezwiednie. Za przykład może posłużyć zdarzenie które zaobserwowałem w swej praktyce nauczycielskiej: miałem ucznia przyzwyczajonego do bezustannego czynienia najrozmaitszych mimik, wykrzywiań i drgań nerwowych całą twarzą; myśląc nieraz nad sposobami usunięcia tej wady, przypatrywałem się jego twarzy uważniej i śledziłem jej drgania i ruchy; po pewnym czasie zauważyłem, że często, gdym był bardzo zajęty i nie myślał zupełnie o swym uczniu, doświadczał tych samych drgań lub wykonywał którykolwiek z tych znaków; nierównie słabiej wprawdzie, ale zawsze odruchy istniały.

Tembardziej więc odruchy umysłowe i duchowe silniej się powtarzają w umyśle i duchu dziecka; gdyż umysł ten, jako ogromnie słaby, siły te, jako nadzwyczaj podatne wszelkim wpływom sił silniejszych, nie mogą im stawić żadnego oporu, i łatwo takowym ulegają. Tembardziej więc zjawiska świata fizycznego i duchowego muszą wywoływać stosowne odruchy i potężnie działają na umysł i duch człowieka.

W ten to sposób dzięki najrozmaitszym okolicznościom, każde dziecko ma możność wyrobienia w sobie choć kilku stron dodatnich, i dzieci nasze rzeczywiście rzadko kiedy zjawiają się zupełnie „*tępemi*.“

Myliłby się jednak grubo ten, ktoby sądził, że z tych przypadkowo zdobytych skarbów korzystać umiemy, myliłby się ten, ktoby sądził, że z tych skarbów choć w części użytkujemy, gdzie tam! większość ich marnieje pod ciężkiemi uderzeniami pierwszej tak zwanej nauki, większość w tej pierwszej nauce ginie bezpowrotnie. A ponieważ dużo wody upłynie w naszej Wiśle zanim rodzice od kolebki zaczną kształcić i rozwijać swe dzieci, ponieważ dużo wody upłynie zanim nasza kobieta stanie na wysokości swego zadania i godnie odpowie swemu powołaniu, jako *rozumna* wychowawczyni przyszłych pokoleń, bolesną jest rzeczą patrzeć jak nierozumnie marnujemy nawet te przypadkowo rozwinięte siły własnych dzieci, jak nie umiemy wyzyskać żadnej z nich na korzyść tego dziecka. To skłoniło nas, że w przyczynkach pierwsze miejsce daliśmy dziecięcej indywidualności. Sądziliśmy, że nim nauczymy się rozciągać swą opiekę nad dziećmi już od kolebki, że nim nauczymy się starannie przygotowywać dzieci do rozpoczęcia z nimi pierwszej nauki, winniśmy całą siłą starać się o naprawienie pierwszych błędów umiejętnem użyciem tego słabego materyału na jakiśmy się zdobyć mogli. Jakim jest ten materyał i z czego on się powoli formuje, staraliśmy się wam przedstawić o ile mogliśmy najdokładniej. Jak się zaś z tym materyałem obchodzimy i jak się z nim obchodzić należy, przedstawimy to w artykułach następnych.

d. c. n.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(dalszy ciąg).

XI.

Dnia 21 października (dalszy ciąg). Trudno wypowiedzieć co się ze mną zrobiło, kiedy

usłyszałem odpowiedź Falstena. Zaręczam jednak, że nie był to strach tylko uczucie najzupełniejszego poddania. Wydało mi się, że okoliczność ta dopełnia odpowiednio sytuacyi, sprowadzając szybsze rozwiązanie! Z najzimniejszą więc krwią poszedłem na przód statku, donieść o tem Kurtisowi.

Dowiedziawszy się, że pudło z 30-ma funtami pikratu, wystarczającego do wysadzenia góry w powietrze, znajduje się na okręcie wewnątrz spodu, w samym ognisku pożaru i że Chancellor może każdej chwili wybuchnąć, Robert Kurtis nie zmrużył nawet oczami, tylko źrenice mu się rozszerzyły i czoło sfałdowało.

— Dobre i to, powiedział, nie ma co mówić. Gdzie Ruby.

— Na wystawce.

— Chodź ze mną panie Kazallon.

Poszliśmy razem na wystawkę, gdzie inżynier i kupiec jeszcze siedzieli.

Robert Kurtis przystąpił do Rubego pytając:

— Więc pan to rzeczywiście zrobiłeś?

— A no tak, cóż wielkiego, odrzekł najspokojniej Ruby, sądząc się być winnym tylko defraudacyi.

Przez chwilę zdawało mi się, że Robert Kurtis zmiażdży tego nieszczęśliwego pasażera, nie mogącego ocenić okropnych skutków jakie pociągnąć za sobą może zwyczajna nieostrożność.

Porucznik powstrzymał się i założył w tył ręce, jakby broniąc się gwałtownej chęci porwania Rubego za gardło.

Następnie zimnym głosem zaczął wypytywać o szczegóły. Ruby potwierdza wszystko co mówiłem. Pomiędzy kuframi składającemi jego bagaże, znajduje się w pudełku około 30 funtów materyi wybuchowej.

Pasażer ten działał w tej całej sprawie z wrodzonem rasie Anglo-saksonów niedbalstwem i nierozwagą, pozwalającą wepchnąć pomiędzy ładunek okrętu pakę pikratu z taką spokojnością, z jaką Francuz położyłby zaledwie butelkę wina. Dla tego zaś nie oznaczył jakości przedmiotu, że kapitan z pewnością by na pokład go nie przyjął.

— Zresztą nie powiesicie mnie przecież za to, i jeżeli moje pudełko robi panom jaką subiekcyę, to wyrzućcie je w morze! Moje bagaże są ubezpieczone!

Usłyszawszy taką odpowiedź nie mogłem powstrzymać gniewu, a ponieważ nie mam zimnej krwi Roberta Kurtis, rzuciłem się więc ku Rubemu zanim porucznik mógł mnie powstrzymać.

— Czy ty wiesz nędzniku, krzyknąłem, że okręt się pali. Cóż byłbym dał za to, ażeby cofnąć te kilka słów, było jednak zapóźno.

Trudno opisać jaki one skutek wywarły na Rubego. Ciało sparaliżowane tetaniczną sztywnością, włosy najeżone, oko bez miary otwarte, oddech rzężący jak u astmatyka, stracił mowę... Strach doszedł u niego do ostatnich krańców. Nagle zaczął ruszać ramionami i patrząc na pokład Chancellora, mogącego w każdej chwili wylecić w powietrze, wyskakuje z wystawki, pada, podnosi się i biega po okręcie, machając rękami jak waryat.

Nagle odzyskał mowę i z ust jego wyrywa się okropny krzyk:

— Okręt się pali! Okręt się pali!

Na ten krzyk cała załoga sądząc, że ogień wybuchnął na zewnątrz i że należy szukać ratunku w łodziach, zbiegła się na pokład.

Wszyscy pasażerowie także nadbiegli. Robert Kurtis, nadaremnie chce uspokoić obłąkanego Ruby.

Nieład dochodzi do najwyższego stopnia. Pani Kear upada bez zmysłów. Jej męża nic to nie obchodzi, odszedł pozostawiając żonę opiece panny Herbey.

Majtkowie już odwiązali sznury szalup, chcąc je spuścić na morze.

Jednocześnie powiedziałem panom Letourneur o pożarze na spodzie okrętu. Ojciec ujął syna w ramiona jak gdyby chcąc go chronić od klęski. Młodzieniec nie stracił zimnej krwi, uspokaja i przekonywa ojca, że niebezpieczeństwo nie jest jeszcze tak bliskie.

Jednocześnie Robert Kurtis przy pomocy porucznika zdołali zatrzymać załogę. Zapewnia ich, że pożar nie rozszerza się, że Ruby jest bez przytomności, że nie należy nigdy zbyt pospiesznie działać, że w danej chwili on sam także porzuci okręt. Większa część majtków usłuchała głosu kochanego i szanowanego przez nich porucznika. Szalupy więc wróciły na swoje miejsce, czego kapitan Huntly nigdy nie zdołałby dokazać. Na szczęście Ruby nic nie mówił o pikracie zamkniętym pod pomostem. Gdyby załoga wiedziała, że okręt ich jest tylko wulkanem mogącym w każdej chwili pęknąć pod ich nogami, upadliby na duchu i uciekali bądź co bądź, bez możności zatrzymania. Kurtis, Falsten i ja wiemy w jaki okropny sposób skomplikował się pożar okrętu, nikt więcej o tem wiedzieć nie będzie.

Kiedy już przywrócono porządek, wróciliśmy z Kurtisem na wystawkę do Falstena. Inżynier siedział ciągle w tem samem miejscu rozwiązując w myśli jakąś mechaniczną zagadkę. Na usilne nasze prośby przyrzekł ani słowa nie mówić o nowem niebezpieczeństwie grożącem okrętowi. Robert Kurtis podjął się zawiadomić kapitana o całej okropności naszego położenia. Poprzednio jednak należy zabezpieczyć osobę Rubego, albowiem nieszczęśliwy dostał zupełnego obłąkania zmysłów i biega ciągle po pokładzie wołając: pali się! pali się!

Porucznik wydał majtkom rozkaz ujęcia pasażera, którego wreszcie związano i zakneblowano.

W końcu przeniesiono go do kajuty i zostawiono pod strażą.

Okropna tajemnica nie wymknęła się z ust jego!

XII.

Dnia 22 i 23 października. Robert Kurtis zawiadomił o wszystkiem kapitana Huntly, jako swojego naczelnika, jeżeli nie *de facto* to chociaż *de jure*, nie miał więc prawa co bądź nastąpiło ukrywać przed nim.

Kapitan wysłuchawszy, nic nie powiedział, następnie potarł ręką czoło, jakby chcąc odegnać natrętną myśl, i wrócił do kajuty, nie wydawszy żadnych rozkazów.

Robert Kurtis, Walter, Falsten i ja zeszliśmy się na naradę i doprawdy z podziwienia wyjść nie mogłem patrząc na zimną krew w takich okolicznościach.

Rozbieramy wszystkie szanse ocalenia, wreszcie Robert Kurtis tak skreśla położenie rzeczy:

—Pożaru wstrzymać nie można, na przodzie upał jest nie do zniesienia. Lada chwila więc natężenie ognia wzrośnie do tego stopnia, że płomienie wybuchną na zewnątrz.

Jeżeli przed tą katastrofą stan morza pozwoli, spuścimy łodzie i opuścimy okręt. W przeciwnym razie pozostaniemy do ostatka, broniąc się od ognia całemi siłami.

Być może łatwiej go będzie opanować jeżeli wydostanie się na wierzch. Wolę walczyć z widzialnym, aniżeli z ukrytym nieprzyjacielem!

— To jest właśnie moje zdanie, najspokojniej odzywa się inżynier.

— I moje także, dodałem. Ale panie Kurtis proszę nie zapominać o 30 funtach pikratu, grożących nam w każdej chwili wybuchem?

— Nie panie Kazallon, to jest rzecz uboczna, z którą nie ma co się rachować? Zresztą co tu na to poradzić. Czy można wejść w środek ognia i wynieść pudło? Nie! Pocóż więc łamać nad tem głowę! Zanim dokończę tego zdania pikrat może wybuchnąć? Nieprawdaż? Albo ogień dojdzie do pudła, albo nie dojdzie.

Okoliczność więc o której pan wspominasz, dla mnie żadnego nie posiada znaczenia. Jest to rzecz Pana Boga, ale nie moja, strzedz nas od tej ostatniej zagłady...

Robert Kurtis wyrzekł poważnie te słowa; my zaś skłoniliśmy głowy nic nie odpowiadając. Trzeba zapomnieć o tej drobnostce, bo stan morza nie pozwala myśleć o odpłynięciu.

— Wybuch nie jest konieczny, powiedziałby jaki formalista, jest tylko możliwy, dodał inżynier z najzimniejszą krwią w świecie.

— Bądź pan tak łaskaw panie Falsten odpowiedzieć nam na jedno pytanie.—Czy pikrat potasu może zapalić się i bez uderzenia?..

— Bez wątpienia, odrzekł inżynier. W zwyczajnych warunkach pikrat nie jest zapalniejszym od zwyczajnego prochu, ale właśnie tak samo zapalnym. Ergo... Falsten rzekł „ergo“ jak na katedrze przy wykładzie chemii.

Zeszliśmy na pokład. Wychodząc z pod wystawy Kurtis rzekł biorąc mnie za rękę i nie ukrywając wcale wzruszenia, z którym dotąd ukrywał się.

— Panie Kazallon, ten Chancellor, to wszystko co kocham na świecie, widzieć go tak rzuconym na pastwę ognia i nie módz nic zrobić dla uratowania go, to rozpacz bierze, nic! nic!

— Panie Kurtis to wzruszenie...

— Już przeszło! Pan tylko jeden wiesz ile cierpię, ale nie trzeba dać boleści ani na chwilę się opanować.

— Czy położenie nasze jest tak dalece rozpaczliwe.

— Nasze położenie? Czyż pan go nie znasz panie Kazallon, jesteśmy przykuci do miny z zapalonym lontem! Idzie o to tylko czy lont ten jest dłuższy czy krótszy!

Powiedziawszy to odszedł odemnie.

W każdym razie załoga i pasażerowie nie wiedzą o pogorszeniu naszego losu.

Odtąd pożar przestał być tajemnicą, pan

Kear zajął się zebraniem najdroższych swoich rzeczy, nie zajmując się wcale żoną.

Wydawszy rozkaz porucznikowi ażeby natychmiast kazał ugasić ogień i złożywszy nań całą odpowiedzialność za wszelkie złe następstwa, oddalił się do kajuty na tyle okrętu, nie wychodząc więcej na pokład.

Pani Kear jęczy ciągle i doprawdy ta biedna kobieta, pomimo całej śmieszności wzbudza litość w patrzących.

Panna Herbey rozciągnęła nad nią najserdeczniejszą opiekę, postępując ciągle z największem poświęceniem.

Uwielbiam tę zacną dziewczynę, dla której obowiązek jest wszystkiem.

Nazajutrz 23 października kapitan Huntly, wezwał Kurtisa do kajuty, gdzie odbyła się pomiędzy niemi taka rozmowa, która następnie Kurtis mi powtórzył.

— Panie Kurtis, zaczął kapitan, którego błędne oczy dostatecznie malowały chorobliwy stan umysłu, powiedz mi pan, czy ja jestem marynarzem?

— Tak panie.

— Więc wystaw pan sobie, że zupełnie zapomniałem swojego fachu... nie wiem co się zemną zrobiło, ale nic nie pamiętam, nic nie wiem... Czy od wyjazdu z Charleston dążemy ciągle ku północo-wschodowi?

— Nie kapitanie, stosownie do twojego rozkazu popłynęliśmy na południo-wschód.

— A jednak ładunek mamy odstawić do Liverpool.

— Naturalnie.

— Więc ten... panie Kurtis jak, się nazywa okręt.

— Chancellor.

— Prawda! Chancellor! gdzież się teraz znajduje.

— Na południe zwrotnika!

— W takiem razie panie Kurtis, nie podejmuję się wcale doprowadzić go napowrót na północ. Nie... nie mogę... Mam zamiar wcale nie wychodzić z kajuty. Widok morza przykrość mi sprawia.

— Kapitanie, mam nadzieję, że starania...

— Tak, tak, zobaczymy. Tymczasem zaś chcę panu wydać rozkaz, ostatni jaki pan odbierzesz odemnie.

— Słucham pana kapitana.

— Od tej chwili, zrzekam się jakiegokolwiek znaczenia na pokładzie, pan obejmij dowództwo statku. Niezależne odemnie okoliczności złamały mnie. Tracę głowę. Ach! panie Kurtis jak ja cierpię! dodał biedny Silas ściskając czoło obiema rękami.

Porucznik uważnie popatrzył na swojego dawnego komendanta i odpowiedział krótko:

— Dobrze kapitanie.

Wróciwszy na pokład, zawiadomił mnie co się stało.

— Tak, rzekłem, ten biedny człowiek ma silnie zaatakowany mózg, jeżeli nie jest waryatem zupełnym; lepiej więc, że złożył dobrowolnie dowództwo.

— W ciężkich warunkach obejmuję po nim komendę, ale cóż robić, trzeba spełnić obowiązek.

W chwilę potem, Kurtis polecił przechodzącemu majtkowi, ażeby zawołał bossemana, który też natychmiast się zjawił.

— Bossemanie, rzekł Robert, każ załodze, ażeby zebrała się u stóp wielkiego masztu.

W kilka chwil potem stało się zadość rozkazowi i ludzie szybko się zeszli.

Wtedy Robert Kurtis wszedłszy pomiędzy nich rzekł spokojnie:

— Chłopcy, z powodów mnie wiadomych, kapitan Huntly uznał za stosowne, zdać na mnie dowództwo okrętu. Od tej chwili, ja wydaje rozkazy na statku.

W ten sposób odbyła się zmiana, która pociągnie za sobą korzystne następstwa. Mamy na czele, człowieka energicznego i pewnego, który dla dobra ogółu nie cofnie się przed niczem. Panowie Letourner i Falsten wraz zemną złożyli powinszowania nowemu kapitanowi, do czego przyłączyli się także porucznik i bosseman.

Kierunek pozostawiono ten sam, i Robert Kurtis rozpuściwszy wszystkie żagle pędzi ku Antyllom szukając ocalenia w ucieczce.

d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

VII.

W imię prawdy uważamy za stosowne umieścić w dosłownem brzmieniu list, który odebraliśmy od p. A. S. autora artykułu „Czem jest dla nas kwestya żydowska“ w N. 4 naszego pisma umieszczony:

Szanowny Redaktorze!

Wiadomo ci doskonale jaki był cel mej pracy w piśmie twem umieszczonej: — wzbudzić o ile się da największe zainteresowanie się kwestyą żydowską, zarówno ze strony ludności chrześcijańskiej jak też inteligencyi żydowskiej... Oto me jedyne zadanie, przeciwko któremu nigdzie ani jednem słowem nie wykroczyłem. Zainteresowanie się to mogłem z największym skutkiem wywołać, przedstawiając, że jeżeli teraz, gdy ludność żydowska jest tylko $^1/_7$ częścią ogólnej ludności tak dotkliwie uczuwamy jej moralną i umysłową nędzę, to o ileż dotkliwiej uczuwać ją będziemy w przyszłości, jeżeli póki czas, wspólnemi siłami nie zamienimy jej w jaki taki dobrobyt. A że uczuwać to wszystko będziemy dotkliwiej, obecnie dostrcza nam na to dowodów statystyka. Z rezultatów zaś tych badań statystycznych na sumiennem obliczeniu opartych wypada, że za lat 150 ludność żydowska będzie połową ogólnej ludności tutejszego kraju. Zdaje się, że sam fakt dopełnienia tych badań przez nas, a raczej fakt sprawdzenia badań i wniosków postawionych przed 16 laty przez p. Wolskiego nie jest jeszcze dowodem lub jak chce „Izraelita“ „objawem złośliwego uprzedzenia“ ku żydom. Owszem wyraźnie powiedziawszy, „że wszystko co tylko zmierzać może do rozwiązania kwestyi żydowskiej, winno podlegać gruntownemu i drobiazgowemu rozpatrzeniu, stwierdziłem najdobitniej, że wszelkie jednostronne w tym względzie dokonywane próby z zasady potępiam. Wszystko to dość zrozumiałe i jasne dla ludzi patrzących na tę sprawę bez uprzedzeń, nic dziwnego, że się takiem nie wydało dla ludzi których drażliwość, miłość własna i uczucie godności rodowej, przez lat tyle były wystawione na bolesne próby. Ludzie tacy w każdem słowie o nich wyrzeczonem, mimowoli upatrują goryczi jad, których tam nawet najsubtelniejszy rozbiór wykazać nie zdoła; fakt to zresztą wiadomy, że głodny rumieni się i obuurza, gdy mu chleb lub pokarm podają. Tak więc i „Izraelita“ na słowa nasze, w których gdyby je uważniej rozejrzał, to nie jad, nie gorycz, nie „insynuacye złośliwe“ a chleb tylko bratnią ręką podawany znalazłby, na słowa nasze mające na celu *przedewszystkiem* dobro samych żydów, na słowa nasze mające na celu wzbudzenie większego zainteresowania się kwestyą *oświaty* żydowskiej, na słowa te odpowiedział 6-a szpaltami wymysłów i uniesień, doprowadzających szanowny „organ religii i oświaty“ do fałszowania słów naszych, do popełnienia kilku błędów przeciwko nauce i prawdzie.

Zostawiając na uboczu wymysły, sprostujemy tu ze względu na swych czytelników, uczynione nam trzy najważniejsze zarzuty.

Przedewszystkiem zanotować winniśmy, że „alarm podniesiony“ jak mówi Izraelita, przez nas, ma na celu wzbudzenie w społeczności do której należę grozy, *nie* z powodu liczebnego wzrostu „żydów,“ ale miał na celu wzbudzenie jak największej grozy, jak największego przerażenia „z powodu liczebnego wzrostu nędzy umysłowej i moralnej“ w naszym kraju.

Powtóre szanowny organ religii i oświaty, rozmyślnie fałszuje wyniki badań naukowych, aby tylko zyskać pozory do obalenia mych wniosków, gdyż wbrew tym badaniom ośmiela się publicznie wyrzec, że normalny wzrost „każdej danej ludności wypada 0,5%, gdy tymczasem jest to przeciętna cyfra dla całej Europy, a krańcowe cyfry z których powstała są bardzo rozmaite: 0,2 (Francya minimum) przeszło 1% (maximum Rosya, kr. Polskie, W. Ks. Poznańskie; Prusy Zachodnie, Szwecya i Norwegia), (przeszło 2% niektóre z gubernij Cesarstwa i ludność żydowska u nas 2,9). Czy więc z tych tak różnorodnych cyfr przeciętna jest normalną, szanowny organ wyrokować nie może, gdyż nizka przeciętna wypada w skutek istnienia w Europie krajów przeludnionych a więc ze wzrostem anormalnym (niższym), w skutek czego i przeciętna nie może być normalną, tembardziej, że okrom żydów wzrost anormalny (wyższy) nigdzie się nie spotyka.

Po trzecie, nakoniec winniśmy obalić wątpliwość w jaką podaje Izraelita wiarogodność źródła z którego czerpaliśmy dane statystyczne do 1856 r. Dane te wzięliśmy z kalendarza, obserwatoryum warsz. W prostocie ducha sądziliśmy, że nie tylko nasi czytelnicy ale tembardziej każdy „organ“ choćby nawet „organ sprawom religii i oświaty“ poświęcony, domyśli się, że samo przytoczenie tak poważnego źródła uwolni pracę moję od wszelkich w tym względzie zarzutów, i nada jej charakter, na twardym gruncie opartej prawdy. Pokazało się jednak, że szanowny „organ religii i oświaty“ nie ma najmniejszego pojęcia o całej doniosłości jaką kalendarz ten dla każdego teraźniejszego i przyszłego badacza na-

szych stosunków społecznych przedstawia i przedstawiać zawsze będzie. Szkoda, że „Izraelita“ nie zasięgnął rady u takich statystów jak p. Simoneńko prof. tutejszego uniwersytetu, jak p. Witold Załęski jedyny u nas na tem polu pracownik, a objaśnili by oni chętnie redakcyą, że kalendarz, chociaż „stary“ i chociaż tylko „kalendarz“ to jednak jego sumienne odczytanie, przyniosłoby bardzo wiele korzyści nawet organowi religii i oświaty, i uchroniłoby go od wystawiania się na śmieszność, litość wzbudzającą. Sądzę że i ty szanowny redaktorze! chcesz aby prawda była taką jaką jest, nie zaś taką jak ją przedstawia „Izraelita“ a więc nie odmówisz miejsca mym słowom. Przyjm pan wyrazy prawdziwego szacunku i t. d. *A. S.*

* * *

Bodaj że nie wspominaliśmy nic jeszcze o nowem wydawnictwie zbiorowem, a tu wkrótce ma się już pierwszy tom onego ukazać. Mówimy tu o przedruku powieści Teod. Tom. Jeża; przejrzanych, poprawionych i uporządkowanych przez autora, z dodaniem dzieła historycznego tegoż pisarza pod tytułem: „Historya drugiego cesarstwa francuskiego.“

Wydanie powyższe podjęte staraniem i nakłademi J. N. O. Rogosza we Lwowie, obejmie od 6 do 8 tomów, a oprócz wielu pomniejszych zawrze w sobie następujących 28 utworów utalentowanego pisarza: „Handzia Zachornicka,“ „Szandor Kowacz,“ „Urocza,“ „Historya o prapradziadku,“ „Historya o praprawnuku,“ „Krwawe dzieje,“ „Hrabianka Dynia,“ „Edward Kloc,“ „Pamiętniki starającego się,“ „Helena“ „Uskoki,“ „Narzeczona Harambaszy,“ „Dachijszczyzna,“ „Zarnica,“ „Dersław z Rytwian,“ „Nauczycielka,“ „Lindora,“ „Z Pomorka,“ „Siostrzane dusze,“ „Emancypowane,“ „Opowiadania Stasia,“ „Wieczerza,“ „Komysznik,“ „Ofiary,“ „Wrzeciono,“ „Mokryna,“ „Francya za drugiego cesarstwa; Belgia i Belgowie.“ Tom pierwszy ma się ukazać w ciągu bieżącego miesiąca lutego, całe zaś przedsiewzięcie ma być wykonane w ciągu lat dwóch 1876 i 1877.

Skład główny w Warszawie powierzonym został księgarni p. Michała Glüksberga wydawcy „Bluszczu.“ Cenę jednego tomu oznaczono na rs. 1 kop. 20, z przesyłką na rs. 1 kop. 35.

* * *

Z przyjemnością prawdziwą przychodzi nam powtórzyć wiadomość podaną w N. 33 Kuryera Warszawskiego. Znany oto zaszczytnie malarz, profesor akademii petersburskiej p. *Jan Ajwazowski*, słynny głównie z utworów przedstawiających epizody morskie, ma zamiar urządzić w mieście naszem wystawę swoich obrazów, z przeznaczeniem osiągniętego stąd dochodu, dla niezamożnej młodzi szkoły rysunkowej warszawskiej. Wystawa ma się mieścić w sali ratuszowej a trwać będzie przez dwa tygodnie. Otwarcie tej wystawy przypada po ukończeniu karnawału. Publika nasza oceni niewątpliwie cel szlachetny jaki się z wystawą łączy, tym więcej że istotnie post wielki, to najstosowniejsza pora do podziwiania dzieł sztuki.

* * *

Trzy nowe pisma peryodyczne przyniósł nam rok bieżący. „Ateneum,“ „Biesiada literacka“ i „Świat.“ Ze „Światem“ nie mieliśmy jakoś sposobności spotkać się jeszcze dotąd. Z działalnością „Biesiady“ i „Ateneum,“ postaramy się wkrótce zapoznać bliżej czytelników naszych.

* * *

Nakładem spółki wydawniczej księgarzy, a pod redakcyą pani Narcyzy Żmichowskiej wychodzi kompletne i dokładne wydanie dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Dotychczas wyszły dwa tomy, zawierające oprócz dwóch książeczek Helenki, powieści moralne dla starszych dzieci i komedyjki.

* * *

Torf nad którego zużytkowaniem na materyał palny tak gorliwie w ciągu lat wielu pracował ś. p. Glinojecki, może doczeka się nareszcie uznania, a należałoby mu się to bardzo, w obec coraz większego wyniszczania u nas lasów. „Kaliszanin“ mianowicie donosi, że głos jego w tej sprawie podjęty nie przeszedł bez echa, gdyż p. Kokczyński właściciel dóbr Lipcze, w powiecie Turskim, z dniem 15 kwietnia r. b. rozpoczyna na wielką skalę eksploatacyą torfu, za pomocą sprowadzonej na ten cel maszyny parowej. Skład główny torfu prasowanego znajdować się będzie w Kaliszu, gdzie odbywać się też będzie sprzedaż hurtowa i detaliczna. Dobry przykład wiele może, to też spodziewa się „Kaliszanin“ że p. Kokczyńskiego zechcą naśladować właściciele inni, mający w obrębie swych majętności obszerne a dziś nieprodukcyjnie leżące pokłady torfowe. Dajto Boże, dorzucimy w tem miejscu na tę samą intencyą od siebie.

* * *

W Sieradzu organizuje się straż ogniowa ochotnicza, do której na członków czynnych zapisało się osób 121, na honorowych 76. Członkowie honorowi płacą jednorazowo na korzyść instytucyi po rs. 3, zatem 76-u złożyło fundusz rs. 228.

Ponieważ na kupno paru nowych sikawek i rekwizytów innych, potrzeba jest około 1000 rs. dla zebrania więc sumy brakującej, proponuje się urządzenie kilku przedstawień amatorskich scenicznych. Dobrze by było aby za przykładem Sieradza, szły jak najliczniej miasteczka inne, dobrzeby było żeby prasa *dziś* szczególniejszą zwracała na tę potrzebę uwagę, w lecie bowiem mogą być znowu spóźnione nawoływania z jednej, a lamenty z drugiej strony.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Z Poznania piszą do „Gaz. Pol.“ co następuje: Ku pożytkowi obywateli Królestwa Polskiego pragnę przedstawić we właściwem świetle głośne szachrajstwo, jakiego dopuścili się agenci Powszechnego niemieckiego towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia w Berlinie. Pobrali składki zwyczajne i dodatkowe od waszych obywateli, nie zapłacili nikomu ani grosza, w pismach publicznych odsądzili od czci i wiary prostodusznych poczciwców, oto esencya sprawy, a teraz idą szczegóły. „Börsen Zeitung“ i „Schlesische Presse“ w artykule pod tytułem: „Piraci assekuracyjni“ w Królestwie Polskiem, oskarżyli waszych obywateli o zamierzone przekupstwa przy oszacowaniu szkód, i bezprawne przywłaszczenie akt podczas zarządzonej rewizyi. Podobne artykuły narobiły niemało hałasu, rozpoczęto formalne śledztwo i oto co się pokazało: Wielu właścicieli dóbr z okolic Kalisza i Sieradza, ubezpieczyło swoje pola od gradobicia w berlińskiem towarzystwie. Że grad te pola bardzo uszkodził a na niektórych z nich zboże do szczętu wybił, o tem wszyscy dobrze wiedzą. Skoro doniesiono towarzystwu o klęsce, zesłało ono na grunt aż czterech taksatorów z Berlina, a w tej liczbie był i dawny dyrektor towarzystwa. Oszacowanie nastąpiło zgodnie i umowy przez obie strony zostały podpisane z zastrzeżeniem rewizyi przez zarząd w ciągu dwóch tygodni. Po upływie całego miesiąca wysłany został do Kalisza nowy agent z poleceniem, aby dokumenta wręczył władzom miejscowym, które jak się spodziewano skonfiskują je, ponieważ podobne ubezpieczanie się za granicą, nie jest dozwolone. Agent zaraz na komorze złożył papiery na stole rewizyjnym, ale urzędnik rewidujący przejrzawszy zwrócił je. Agent tedy jechał dalej do Kalisza, i tam najął pewnego pana za 15 rubli, aby papiery wręczył władzom policyjnym, obiecując jeszcze 10 rubli po skończeniu interesu. Najęty jegomość rozpatrzywszy się w papierach, i poznawszy do jak brzydkiego czynu go namawiano, papiery oddał ubezpieczonym obywatelom. Agent który czekał daremnie w Ostrowie na pokwitowanie, napisał list do owego pana, nagląc go aby obietnicy dotrzymał. List ten znajduje się przy aktach.

Towarzystwo po tych zajściach naglone na nowo o zapłacenie, takowego odmówiło, pod pozorem że władze miejscowe odbyć rewizyi nie pozwoliły; co jest nowym fałszem. Wprawdzie przed niedawnym czasem zarząd towarzystwa wezwał poszkodowanych i ofiarował im połowę wynagrodzenia, na co naturalnie nie zgodzili się. Poszkodowani mając dziś wszelkie dokumenta w ręku występują na drogę sądową. Teraz będziecie wiedzieli kto jest piratem.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. P. Malickiemu w Kumejkach.— Przegl. Tyg. w czasie właściwym zaprenumerowany, drugie żądanie spełniamy powtórnie.

P. M. Markowskiej w Kożuchowie. — Adres zakładu fotograficznego: Jan Mieczkowski, przy rogu ulic Miodowej i Senatorskiej N. 496.

P. Żuk w Kremenczugu.—Nadesłane do Redakcyi Kłosów pieniądze wniesione zostały w czasie właściwym do Księg. Gebethnera i Wolffa, żądane zaś dzieła, taż Księgarnia wysyłać będzie. Upraszamy o zawiadomienie czy Stolarstwo i Mechanikę wysłać.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 (17) Февраля 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.